Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Pan Premjer Jędrzejewicz z ubitym przez siebie niedźwiedziem w dolinie „Rafajłowca", na pograniczu czechosłowackiem.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 2 (739) 10 STYCZNIA 1934 R.



Odyniec. Fotografja z grupy odznaczonej bronzowym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego". Fot. leśn. Edm. Kossecki.

RZADKIE TROFEUM.

Reprodukując obok i na karcie okładkowej piękną i rzadką zdobycz, zamieszczamy poniżej krótki opis, dotyczący bądź co bądź niepowszedniego ewenementu myśliwskiego, udzielony nam łaskawie przez inż. Konrada Szuberta, Dyrektora Lwowskiej Dyrekcji Lasów Państwowych.

REDAKCJA.

Niedźwiedź, strzelony przez Pana Premjera Jędrzejewicza należy do pięknych egzemplarzy karpackich. Niedźwiedź ten padł na pograniczu polsko-czechosłowackiem, na wysokości 1200—1300 m. p. m. w dolinie „Rafajłowca", obok „Krzyża Legjonów Polskich", na szlaku II-giej Brygady Legjonów — na Pantyrze.

Wędrowny ten niedźwiedź „bez paszportu" przechodził raz na polską to znów na czeską stronę, więc niezawodnie padłby on po czeskiej stronie (gdzie nie ochrania się niedźwiedzi tak, jak u nas) gdyby nie to, że św. Hubert przeznaczył go dla Pana Premjera.

Lasy Państwowe z radością gościły w karpackich borach Dostojnego Myśliwego w osobie — Pana Premjera, który celnym strzałem (niska, lewa komora), położył „misia" w trudnych dla strzału warunkach.

Spotkanie z niedźwiedziem miało miejsce na polanie, która posiada wymiary zaledwie kilkunastu metrów kwadratowych, wśród starego jodłowo-świerkowego drzewostanu, przy dwudziesto-pięciostopniowym mrozie.

Po strzale niedźwiedź, oddaliwszy się 100—120 kroków, runął na ziemię, by już więcej nie powstać.

Nazajutrz Pan Premjer udał się na miejsce strzału, gdzie spotkał swego „misia", ofiarowanego przez św. Huberta.

Niżej podpisanego w obecności miejscowego nadleśniczego p. inż. Jurkiewicza spotkał zaszczyt wręczenia Panu Premjerowi tradycyjnego złomu z jedliny karpackiej i podziękowania jednocześnie za łaskawe przybycie na teren Administracji Lasów Państwowych.

KONRAD SZUBERT.



Pan Premjer Jędrzejewicz w asyście dyrektora K. Szuberta i nadleśniczego Jurkiewicza przy ubitym niedźwiedziu.

REKORDY.

Pogoń za rekordami — to choroba wieku. Jeśli mylnem byłoby przypisywanie Ameryce, tej przysłowionej kuźni rekordów, obudzenia w psychice ludzkiej dążności w tym kierunku, to jednak w przystosowaniu tego pojęcia w praktyce życiowej do każdej dziedziny bez wyjątku, w pędzie ku realizacji wyścigu rekordów Amerykanie odegrali bezsprzecznie dominującą rolę, rozżarzając do białości emulację pomiędzy współzawodnikami na każdem polu.

Ambicje indywidualne istniały jednakże zawsze i one to są praźródłem psychicznem zapasów o osiąganie rekordów.

Są dziedziny, w których zastosowanie tego dążenia wzbudzone jest przez pierwiastki ambicji szlachetnych i mądrych, zrodzonych przez troskę o byt rodzin, społeczeństw i narodów, jednakże mianem rekordów w słowniku potocznej ludzkiej mowy nie znaczą się zdobycze ani tak ważne, ani tak decydujące, natomiast oparte bardziej o ludzką próżność, niż potrzebę, a często, niestety, także o tak trudną do wykorzenienia fałszywą ambicję.

Dziedzina sportów wszelkiego rodzaju jest niewątpliwie nadzwyczaj obszernem tłem, na które obok siebie rzucają światła i cienie — ta część zdrowej, usprawiedliwionej ambicji na drodze wyrabiania tężyzny ciała, jak i cała rozmaitość przejawów źle zrozumiałej i fałszywie ujętej ambicji człowieka.

Odkąd sporty stały się w ostatnich dziesiątkach lat tak powszechne i niezmiernie popularne, rekord stał się ich hasłem, dewizą, celem. Żyliśmy się już tak dalece z temi nierozdzielnemi od siebie pojęciami, że najlepszego sportowca gotowi jesteśmy lekceważyć, o ile nie udało mu się swego imienia złączyć z magicznym wyrazem: rekord.

*

Do każdego sportu przywiązany jest nieodłącznie ruch, jako jego główny wyraz. Do umiejętnego wykonywania sportów potrzebne są: siła, zręczność, wytrwałość i t. p., a niekiedy i zalety psychiczne, jak odwaga, wreszcie w wielu odmianach uprawianych sportów przejawia się reagowanie na piękno przyrody i ścisłe współżycie z jej życiem.

Takim mianowicie sportem jest myślistwo i te właśnie cechy stawiają je na jednem z czołowych miejsc.

Ale na pojęcie rekordu w myślistwie niema miejsca, a ci, którzy je chcą tam znaleść, którzy, dążąc do sukcesów w celności swych strzałów, działają w zapamiętaniu — odbiegają od szlachetnego pojęcia sportu myśliwskiego do sportu zaledwie strzeleckiego, karygodnie przenosząc cechy tego ostatniego na myślistwo, i mieszając te dwa sporty i te dwa pojęcia, tak bardzo od siebie różne.

Może się zdarzyć wszelako, że zupełnie mimowoli myśliwy w osiąganych rezultatach ilościowych zdobywa pewnego rodzaju rekord, lecz nie to powinno być jego głównym celem. Dla tak jedynie pojmujących sztukę i cel myślistwa nazwa myśliwego jest nadto piękną, a tem samem nieusprawiedliwioną.

Rekordy w myślistwie zrozumiałe swe znaczenie posiadają wyłącznie pod względem wyników pracy hodowlanej, a o rekordy na tem polu myśliwemu-hodowcy może chodzić w dwojakiem znaczeniu: wyprodukowania, ochronienia i utrzymania jak największej ilości zwierzyny w łowisku i uzyskania przez odpowiednio zastosowaną troskliwość i umiejętność hodowli jak najlepszych, najwybitniejszych okazów hodowlanych.

Myśliwemu-hodowcy, jak również myśliwemu-sportsmenowi może również zależeć na osiąganiu jak najlepszych rezultatów jakościowych pod względem zdobywanych trofeów myśliwskich, będących najwyższą rekompensatą za poniesione trudy.

Wreszcie myśliwemu-hodowcy powinno bezwarunkowo chodzić o zdobywanie rekordów pod względem możliwości odstrzału zwierzyny w jego łowisku, ale temu samemu myśliwemu poza obrębem terenu jego pracy hodowlanej, jako jedynie sportsmenowi, nie powinno imponować w żadnym wypadku wysłanie do tej zwierzyny setek czy tysięcy nabojów, zdobycie tak zwanego „królestwa" na polowaniu i t. p. To bowiem wkracza już całkowicie w sferę rekordów strzeleckich, a staranie się o zdobywanie tego rodzaju rekordów nie może być zgodne z etyką łowiecką prawdziwego myśliwego inaczej, jak w odniesieniu do celów martwych.

Nie może szczycić się wysoką kulturą myśliwy, którego z a d a w a l n i a, a nawet pociąga łatwa zdobycz setek zajęcy, kuropatw, bażantów lub innej zwierzyny, hodowanej masowo, gdzie rodzaj polowania niczem nie przypomina sportu, lecz stoi na granicy techniki zabijania przeznaczonych do tego wielkich ilości zwierząt w celach utylitarnych i gospodarczych, co jednak bliższem jest rzemiosłu, niżeli sportowi.

Pod tym normalnym kątem zapatrywania na sport myśliwski niesłychany poprostu jest widok „myśliwego" na obfitem w zwierzynę polowaniu, którego całe zainteresowanie zwrócone jest w kierunku przestrzelania innych i który w tym celu dopuszcza się nawet niezgodnych z etyką czynów, jak strzelanie na cudze stanowiska, zbieranie przez kogoś innego ubitej zwierzyny, podawanie fałszywego pokotu i t. d.

Weyssenhoffowscy Hrebniccy zbyt często, niestety, trafiają się wśród polujących, a podobnych do nich spotykamy niemal na każdem polowaniu. To staje się w niektórych zwłaszcza okolicach, gdzie „utarło się" stosowanie tak pojętej emulacji, poprostu plagą, stanowiąc plamę na dobrem imieniu myśliwego.

A wieleż przez takie postępowanie mnoży się postrzałków, gdy dla zdobycia największego pokotu strzela się na wszelkie odległości, pokrywając to zwykłemi bajkami o wyjątkowej dalekonośności swej broni.

*

Prawdziwie myśliwski sport cechuje lubowanie się trudnością zdobywania zwierza, a im on jest rzadszy, im trudniej udaje się z nim spotkać, im więcej wymaga sprawności myśliwskiej, znajomości warunków, zdolności i inicjatywy, trudów i sił — tem bardziej myśliwskiemi są łowy.

Śmierć zwierzęcia od pocisku myśliwskiego jest ostatnim, koniecznym aktem, jest podsumowaniem szeregu wysiłków i trudów, obrazującem ich napięcie i wartość.

Pięknym wynikiem będzie zawsze zdobycz kapitalnego wieńca jeleniego, lub rosoch łosia, a chociażby parostków sarnich, na co niejeden dzień nieraz należy poświęcić, a prawdziwy myśliwy ceni szczęśliwie wkońcu zdobyte trofea przedewszystkiem ze względu na głęboko w jego duszę zapadające wzruszenia przeżytych chwil, częstokroć pełnych zawodów i już zda się uchodzących nadziei. Lecz zato jak dziwnem, niezrozumiałem i marnem w zestawieniu z taką zdobyczą jest zadowolenie z możności nasycenia zwykłej zachłanności przez rekordzistę, który potrafi jednego ranka lub wieczora, z podjazdu, prawie nie opuszczając bryki, wygolić kilka „rzędowych", na pół oswojonych kozłów.

Taksamo poniesienie wielkich trudów i zużycie nieraz szeregu dni na to, aby usłyszeć w dzikiej puszczy pieśń godową głuszca, jest piękną kartą przeżyć myśliwskich, natomiast strzelanie na wypa-

trzonego, na wybitnie gęstem tokowisku, kulami do kilku z rzędu ptaków tego samego ranka nabiera posmaku niesympatycznego uprawiania rekordowej strzelaniny.

Wprawdzie *l'appetit vient en mangeant* i nic w tem dziwnego, że udający się na tokowe polowania myśliwy, po przeżyciu jednej i drugiej pieśni głuszcowej i po osiągnięciu upragnionej zdobyczy pod postacią paru wachlarzy, szuka dalej innych, coraz nowych wrażeń i wzruszeń — chętnie więc spędza świty w budce na cietrzewie, wieczorami wchłania w siebie czar i zachwyca się urokiem słonczych ciągów, lub w chybotliwej łodzi ugania się za godowo opierzonym kaczorkiem — lecz jakże nielicujące z temi subtelnemi namiętnościami i artystycznem odczuwaniem tętna budzącej się wiosną przyrody jest wyszukiwanie rekordów ilościowych w ubitych na takich polowaniach ptakach, doprowadzające koniec końców do przesytu.

Przesyt jest wynikiem każdego lekkomyślnego nadużywania darów przyrody i wywołuje prędzej czy później zniechęcenie do całego świata i do samego siebie — a cóż dopiero przesyt w dziedzinie najsilniejszych wrażeń łowieckich.

Wrażenia takie, rzadko dostępne i z wielkim trudem zdobyte, budzą zawsze głęboką i władną tęsknotę za ich odnowieniem, spowszedniałe stają się przez to samo szarością dnia i nudą.

Myślistwo, jak żaden inny sport, przynosi wielką skalę rozmaitości wspaniałych, odrębnych jedne od drugich, poruszających do głębi wrażeń.

Myślistwo, jako takie, polega właśnie na wyszukiwaniu tych wrażeń i emocyj w ciągle zmieniających się formach i okolicznościach, budzi ich łaknienie i odurza symfonją różnorodności świateł i cieni w barwach i tonach.

Lecz jeśli wpada w szablon — traci swój wyraz, przestaje być samo sobą.

Rekord ilościowy w myślistwie sprowadza je do szablonu, jest bowiem jedynie zwycięstwem techniki człowieka i jego narzędzi sportowych, nie przynosi wówczas żadnych zdobyczy ducha, zbliża do rzemiosła, a oddala od kulturalnego używania bogactw przyrody i od właściwej oceny ich wartości.

Biorąc pod uwagę sytuacje, w jakich znajduje się niemal każdy bez wyjątku myśliwy, należy rozróżnić i rozdzielić raz na zawsze polowania w całem słowa tego znaczeniu *sportowe* od polowań *gospodarczych*, będących odpowiednikiem zbioru wszelkich plonów ludzkiego posiewu i ulepszeń selekcyjnych.

Na tego rodzaju polowaniach myśliwi, jakkolwiek bez ujmy dla siebie, zbliżają się przecież do roli żniwiarzy dojrzałego łanu zboża, zresztą, przyjmując tę rolę na siebie, okazują niezastąpioną pomoc „techniczną" licznym nieraz przyjaciołom, gospodarzom łowisk, lecz nigdy nie powinno to pobudzać do współzawodnictwa, emulacji i poszukiwania rekordów ilościowo-strzeleckich.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

KILKA POLOWAŃ NA WILKI.

Z żywem zaciekawieniem przeczytałem garść wspomnień rosyjskiego myśliwego-wilczarza, łaskawie udzielonych czytelnikom „Łowca Polskiego" przez p. J. Dylewskiego w dwóch pierwszych zeszytach 1932 r., ponieważ zaś sam miałem sporo ciekawych spotkań z wilkami, pragnę podzielić się niemi ze współwyznawcami świętego Huberta w nadziei, że niejednego one zainteresują.

Mieszkam od dzieciństwa, a poluję od wczesnej młodości w okolicy, gdzie wilki nie są rzadkością — na pograniczu województw nowogródzkiego i poleskiego, obecnie tuż przy granicy sowieckiej. Pierwszą znajomość z wilkami zawarłem, mając lat 8, gdy wzięto mnie, jako widza, na wielką obławę letnią; stara wilczyca przeszła wówczas o kilkanaście kroków odemnie i na całe życie pozostawiła swoim widokiem niezatarte wrażenie.

Nie zagustowałem jednak w obławach, na których padają przeważnie młode wilczki, gdy więc zacząłem polować, rzadko w nich brałem udział, a nigdy z pomyślnym rezultatem.

Pierwsze dwa wilki zabiłem przypadkowo, jednego o zmierzchu, drugiego o świcie, czatując na brzegu lasu na żerujące w owsie dziki. Później, słysząc opowiadania starych myśliwych o polowaniu z prosiakiem, próbowałem w widne, zimowe noce jeździć po drogach, gdzie spotykano wilki, i przyprawiłem w ten sposób o śmierć... jedynie kilka niewinnych prosiąt, zbyt gorliwie miętoszonych przez ich „oprawców". W tych niepowodzeniach był wszakże jeden wyjątkowy wypadek, który mógłby się skończyć dla mnie zwycięstwem, gdyby nie splot niepomyślnych okoliczności.

Jechaliśmy o północy w wyjątkowo widną, księżycową noc brzegiem lasu, gdzie stale trzymały się wilki. Dobrze wymoszczone słomą, robocze, parokonne sanie kryły w swem wnętrzu nadleśniczego Świerczkowskiego i mnie, uzbrojonych w nabite loftkami dubeltówki, tudzież woźnicę i gajowego, zadaniem którego było wydobywanie jak najprzenikliwszych tonów z dorodnego prosiaka. Za nami, uwiązany na sznurku w odległości 20 metrów od sań, wlókł się i podskakiwał na nierównościach drogi zaszyty w worek pęk świńskiego nawozu, któremu nadano kształty prosięce.

Noc była śliczna i umiarkowanie mroźna, sanna wyśmienita, legowisko miękkie, marząc więc o niedościgłych wilkach, zaczynałem drzemać, gdy lekkie szturchnięcie nadleśniczego przywołało mnie do przytomności. Idąc wzrokiem za jego wyciągniętą ręką, spostrzegłem dwa szare cienie, przemykające się wśród rzadkich drzew przylegającego z jednej strony do drogi lasu. Nie było wątpliwości: dwa wilki sunęły za nami lasem w dość znacznej jeszcze odległości, nie decydując się wyjrzeć na zalaną światłem księżycowem drogę. Głośniej zakwilił prosiak, jakiś ciepły kłębek jął mi się podsuwać od dołu ku krtani, tamując oddech...

Jeszcze chwilka — pchnięte nagłą decyzją wilki wyskoczyły na drogę i szybko zbliżały się do nas, choć konie, dostrzegłszy swych odwiecznych wrogów, ruszyły z kopyta, nie dając się powstrzymać woźnicy. Wypaliłem w chwili, gdy jeden z wilków dopadał do worka, imitującego prosiaka. Strzelony, okręcił się kilka razy w kółko, chwytając zębami zraniony bok, i poszedł w pole, ścigany trzema naszemi dalszemi, nieszkodliwemi zapewne strzałami, drugi zaś wilk znikł w lesie.

Gdy zdołano zatrzymać rozhukane konie i wróciliśmy na miejsce rozprawy, okazało się, że wilk farbując mocno, poszedł w szczere pole. Nie chcąc go niepokoić zbyt pośpieszną gonitwą, wróciliśmy do domu, tembardziej, że konie, skierowane w pole, z trudem brnęły po głębokim śniegu, a nazajutrz ra-

no zamierzaliśmy tropić postrzałka na nartach. Tymczasem przed świtem wypadł tak obfity śnieg z zadymką, że zatarł wszelkie ślady. Nauczony doświadczeniem, brałem później na tego rodzaju polowania tylko spokojne, fornalskie konie. nigdy już jednak wilka na strzał nie miałem.

Znacznie później, gdy już zarzuciłem polowania z prosiakiem, przekonałem się, że nawet pojedynczy wilk lubi śledzić przejeżdżające lasem furmanki prawdopodobnie w nadziei, że coś jadalnego z nich uszczknie. Szedłem raz drogą leśną o zimowym zmierzchu i, posłyszawszy skrzyp zbliżających się na spotkanie płóz, ukryłem się przy drodze w zaroślach, podejrzewając, że o tak późnej godzinie wiozą kradzione drzewo. Przepuściłem kilka furmanek, za któremi szli rozmawiający głośno chłopi i już chciałem wyjść na drogę, aby okrzykiem zatrzymać idących, gdy w odległości jakichś stu kroków za ludźmi spostrzegłem wolno idącego drogą dużego psa. Chcąc mu posłać nabój zajęczaka, którym miałem nabitą strzelbę, przygotowałem się do strzału, nie wychodząc z kryjówki, jakież jednak było moje zdumienie, gdy w domniemanym psie rozpoznałem w słabem świetle zmierzchu tęgiego wilczurę, którego z odległości kilkunastu kroków położyłem w ogniu.



Pani Józefowa Woyniłowiczowa z zabitym 1 XI 1931 r. wilkiem w Kuncowszczyźnie. Fot. Tea Jóźwicka.

Gdy polowania z prosiakiem nie odnosiły żadnego skutku, a przygodne spotkania z wilkami były zbyt rzadkie, by mogły zaspokoić moją żyłkę myśliwską, chwyciłem się innego sposobu, z powodzeniem ponoć praktykowanego w Rosji. O kilometr od dworu, w polu, zdala od przejezdnych dróg, a tuż pod ścianą zwartego, świerkowego lasu mieliśmy tak zwany cmentarz bydlęcy — rozległą i głęboką jamę, otoczoną wieńcem starych sosen i świerków, dokąd wywożono wszelką padlinę. W zimie nie pozwalałem jej zakopywać, lecz kazałem składać przy brzegu jamy na powierzchni ziemi, o jakieś 20 metrów od skraju lasu, gdzie na rosochatym i gałęzistym świerku urządziłem sobie wygodną i dobrze zamaskowaną ambonę na wysokości 5 metrów nad ziemią. Było to na kilka lat przed wojną, a że wówczas opieka weterynaryjna na głuchej prowincji była takim samym czczym frazesem, jakim jest niestety i dzisiaj, więc poczciwe nasze wilczki, zasilane przez dwór i okoliczne wsie, nigdy nie cierpiały głodu, nawet w najsroższe zimy, i bardzo ową kępę drzew polubiły. Nawet wędrowne stada, wynurzające się niekiedy z dzikich, poleskich ostępów w nasze bardziej kulturalne okolice, poznały do niej drogę — i nieraz z padłego konia lub wołu po jednej nocy pozostawały tylko kości.

Na tej ambonie, ubrany w ciepły kożuch, burkę i filcowe buty, zaopatrzony w termos z gorącą herbatą, lub czerwonem winem z korzeniami, spędziłem w ciągu dwóch czy trzech zim kilkadziesiąt niezapomnianych księżycowych nocy — niezapomnianych nie dla obfitego łupu (gdyż był on nader nikłym), lecz dzięki cudownym widowiskom, jakie często miewałem.

Widywałem, jak stadko wilków podchodzi z pola ku ponętnej uczcie, lecz, idąc prawie zawsze pod wiatr i zwietrzywszy niebezpieczeństwo, zatrzymuje się poza granicami strzału, rozbiega się w różne strony dla dokładniejszego złapania wiatru i znów się skupia, porozumiewając się cichem warczeniem, by wreszcie wolno, niechętnie roztopić się w mętnej dali.

Słyszałem tuż za sobą w świerkowej, nieprzeniknionej gęstwinie tęskne, chóralne śpiewy drapieżników, skrobanie ziemi niecierpliwemi pazurami, ogryzanie się wadery przed nadskakującemi jej amantami w czasie zimowego weseliska.

Obserwowałem, jak na parę chwil przed ukazaniem się w polu nocnych włóczęgów oszalałym biegiem pryskają do lasu szaraki, spędzone z oziminy.

Nie żałuję dziś tych kilkudziesięciu bezsennych nocy, choć w rezultacie dały mi tylko jednego wilka, jednego lisa, oraz zabitego o wschodzie słońca orłabielika i gołębiarza. Wilk ten, jedyny strzelany przezemnie z owej ambony, wbrew wilczemu zwyczajowi podbiegł z wiatrem, w silną zadymkę śnieżną. Biegł skrajem lasu, a dojrzałem go w chwili, gdy był pod mемi stopami. Pomimo wiatru, huczącego w kosmatych świerkach, musiał dosłyszeć szelest, spowodowany składaniem się i w kilku potężnych susach odsadził się w pole, stanął i rozglądał się. Niskie, szybko pędzące chmury, sypiąc śniegiem, były tak przejrzyste, że księżyc w pełni doskonale był przez nie widoczny. Złożyłem się jak najstaranniej, dokładnie widząc muszkę — i wilk, zatoczywszy nieduże półkole, padł za cmentarzem.

Na kilka lat przed wojną, zachęcony coraz liczniejszemi artykułami, zapełniającemi łowiecką prasę polską i rosyjską o polowaniach na wilki z fladrami, sporządziłem sobie 3-kilometrowy sznur z czerwonemi gałgankami i wówczas dopiero zacząłem z powodzeniem polować na szare rozbójniki.

Pierwsza próba skończyła się dość oryginalnie. Otropiłem 4 wilki na kilkudziesięciu hektarach karłowatej sośniny, rosnącej na mszarze, otoczyłem je z pomocą dwóch gajowych i mego furmana fladrami i, stanąwszy na najlepszym, jak mi się zdawało, przesmyku, poleciłem furmanowi, obeznanemu dobrze z myślistwem, iść milczkiem po tropie, a gajowych rozstawiłem przy fladrach w tych miejscach, które mi się wydawały słabszemi. Liczyłem, że wilki spłoszone, lecz niezbyt nastraszone przez cicho idącego człowieka, będą wolno krążyły w zaczarowanem kole, aż się natkną na jednego ze strzelców. Był to ciepły dzień w połowie lutego, z odwilżą i silnym wiatrem, a śnieg, nasycony wilgocią, nie skrzypiał pod nogami. Przypuszczałem, że wilki śpią twardo, gdyż poprzedniej nocy solidnie posiliły się padliną.

Po dobrej godzinie oczekiwania ujrzałem furmana, pędzącego do mnie bez czapki i kożucha, z czołem oblepionem mokremi od potu włosami, dającego mi zdaleka jakieś tajemnicze znaki. Okazało się, że podszedł on do śpiących w rzadkiej sośninie wilków i, nie zbudziwszy żadnego, cicho się wycofał

i pobiegł po mnie. Przeszliśmy kilkaset metrów z początku szybkiem tempem, później coraz wolniej i ostrożniej, wreszcie wysunąłem się naprzód i starałem się jak najciszej stąpać po wyciśniętych w mokrym śniegu śladach mego towarzysza, które pozostawił, wycofując się od legowiska. Wilki spały w rzadkiej, przezroczystej sośninie, wciśnięte do połowy ciał w przysypane śniegiem puszyste poduszki sphagnum. Cztery ciemne, zwinięte kłębki widoczne były zdala. Gdy podszedłem na 35 kroków, jeden z wilków podniósł głowę i utkwił we mnie żółte, przenikliwe oczy. Po strzale loftkami zerwały się wszystkie cztery i rozproszyły w różne strony, pewnym jednak będąc, że pierwszy obudzony dostał postrzał śmiertelny, drugim strzałem powaliłem innego. Dwa zdrowe wilki niebawem połączyły się i, bez wahania przekroczywszy fladry, poszły daleko. Postrzałek, obficie farbując, szedł jakiś czas wzdłuż sznurów, nie odważając się na ich sforsowanie, wreszcie, spotkawszy się z jednym z gajowych, który wystrzelić nie zdążył, przeczołgał się popod sznurem i wolno wyszedł do sąsiedniego oddziału leśnego, porosłego zwartą świerczyną. Zważywszy późną porę, pozostawiłem go w spokoju do dnia następnego.

Nazajutrz jednakże wilk nie dał się podejść na strzał i, pozostawiwszy zlane farbą legowisko, wolno poszedł dalej. Jeszcze raz go otropiłem i kazałem pędzić na granicę naszego lasu, gdzie znałem doskonały przesmyk, niestety jednak przejeżdżająca drogą graniczną fura siana zawróciła go z obranego na moje stanowisko kierunku i mogłem tylko dostrzedz, jak w odległości paruset metrów odemnie przechodził wolnym truchtem, z nisko zwieszoną głową, poprzez graniczną łąkę. Gajowy, posłany za nim bez strzelby, szedł kilkanaście kilometrów po tropie i późną nocą wrócił z niczem.

Gdy następnej zimy straciłem znowu postrzałka i o tyle boleśniej, że po strzale loftkami leżał jakiś czas, wierzgając zadem, a po dobrej minucie wstał i, nie reagując na drugi strzał, uszedł w niedostępne mi knieje, — zacząłem z lepszem powodzeniem używać trójlufki, której 8-milimetrowa kula w półpłaszczyku, byle dobrze ulokowana, kładła trupem najtęższego basiora.

Najbardziej pamiętnem jest mi polowanie, które się odbyło w tymże mszarze, gdzie udało mi się podejść do śpiących wilków. Tym razem otropiłem piątkę przy pomocy gajowego Nielubowicza, który, choć rodowity poleszuk, łączył w sobie zalety typowego „pskowicza" z niesłychaną wytrzymałością syna Polesia. Stanęliśmy na szerokiej linji o 150 metrów jeden od drugiego, mając przed sobą rozległe pole widzenia w rzadkiej i słabo podszytej trzciną i niskiem bagnem sośninie, tuż za sobą — fladry. Nie dosłyszałem, kiedy ruszyła naganeczka, i nie spodziewałem się jeszcze wilków, gdy dostrzegłem je przed stanowiskiem Nielubowicza, uzbrojonego w moją dwunastkę, nabitą loftkami. Szły gęsiego, typowym wilczym truchtem wzdłuż fladr, stopniowo do nich się zbliżając. Kierowały się w moją stronę, defilując przed Nielubowiczem w odległości jakichś 60 metrów. Drżałem z obawy, by nie zechciał on zaryzykować niepewnego na taką metę strzału z broni śrutowej. Obawy moje okazały się na szczęście płonne i przepyszna piątka zrównała się niebawem z mojem stanowiskiem już znacznie bliżej od linji.

Największa sztuka, przebita kulą, zrulowała w ogniu, pozostałe rozbiegły się wachlarzowato i jednej z nich zdołałem jeszcze posłać nabój loftek, po którym przeszła sto metrów i padła martwa.

Obie — były to wilczyce.

Po wojnie skurczyły mi się znacznie tereny myśliwskie, gdyż większa część mojej ojcowizny pozostała za granicą sowiecką. Jednakże nieduży, ale zwarty i dobrze podszyty nasz las lubią dotychczas nawiedzać wilki i niema zimy, byśmy na nie kilka razy z żoną nie polowali. W celach łowieckich podzieliłem las wąziutkiemi linjami na 12-hektarowe oddziały w kształcie wydłużonych prostokątów, co niesłychanie ułatwia nagance orjentację przy pędzeniach zajęczo-jarząbkowych, a jednocześnie sprzyja tropieniu wilków i lisów. Po każdej ponowie gajowi zrana obchodzą swoje rewiry i już o godz. 9-10 mamy meldunki o wilkach. Jeżeli są i zostały otropione, natychmiast czterech ludzi otacza miot fladrami, których przy tak małych oddziałach wystarcza kilometr, i tychże czterech spełnia później funkcje naganki, my zaś stajemy, zależnie od kierunku wiatru i „wagi" zwierza, na dwóch rogach przy krótszej linji prostokątu, czyli o 200 metrów jedno od drugiego, najchętniej bowiem przechodzą wilki przez fladry przy ich załamaniach pod prostym kątem. Czasem się zdarza, że wobec tak małych ostępów gajowi, tropiąc lub zakładając fladry, spłoszą wilki, lecz dzięki gęstwinom bywa to bardzo rzadko i tylko wtedy, gdy zwierz zapadł blisko linji, lub gdy wyjątkowo głośno trzeszczy skorupa śnieżna pod nogami. Wilki nasze rozmaicie reagują na fladry: jedne, zapewne te, które bywały już w opałach, lekceważą je sobie, inne respektują je bardzo dobrze i nieraz dwa albo i trzy razy przepędzić trzeba miot, by je wyprzeć na linję strzelców.

Z taką właśnie piątką „naiwnych" wilków mieliśmy do czynienia 24-go stycznia 1929 roku. Spały w bardzo zwartej, młodej świerczynie, ruszone rozeszły się i pojedyńczo szukały wyjścia z matni, naganka zaś miała nakazane iść bardzo wolno i tylko zcicha pogwizdywać. Na mnie wyszły w dużych odstępach czasu dwa pojedyncze: duży siwy wilk i znacznie mniejsza rudawa wilczyca, i oba padły pod samemi fladrami. Wyczekawszy dobrą chwilę i przypuszczając, że pozostałe opuściły miot, podszedłem do żony, jak się okazało, w najniestosowniejszej chwili, gdyż spłoszyłem zbliżającego się do niej wilka. Wtenczas wróciliśmy oboje na moje stanowisko i tam jeszcze jeden wilk zbliżał się ku nam, lecz na strzał nie podszedł i wyniósł się z miotu.

Dokładnie w dwa lata później, 24-go stycznia 1931 roku pędziliśmy naraz kilka oddziałów, gdyż z powodu niewyraźnej ponowy trudno było ustalić, w którym oddziale leży pojedynczy wilk. Ponieważ fladr nie starczyłoby na tak duży zakład, rozwiesiliśmy je tylko z dwóch stron w kształcie szeroko rozwartego lejka, u wylotu którego stanęliśmy blisko od siebie, na skraju rozległej płazowizny kilometrowego pasa nadgranicznego, za którą ciągnęły się już lasy sowieckie. Wilk szedł niezbyt pośpiesznie wzdłuż fladr i, strzelony przez żonę, upadł, podniósł się jednak i wolniej poszedł dalej w obranym kierunku. Otrzymawszy drugi nabój loftek, znów się przewrócił, by znowu powstać i ruszyć na fladry, zupełnie je ignorując. Gdy minął sznur i niedołężnie przełaził przez leżącą kłodę, trzeci nabój loftek uspokoił go na zawsze.

Pierwsza ta gruba zdobycz myśliwska mojej żony była wielką dla nas obojga radością.

3-go kwietnia 1931 roku, w Wielki Piątek, wziąłem udział w niezwykłem, ze względu na spóźnioną porę roku, polowaniu na wilki z fladrami w jednem z nadleśnictw ordynacji nieświeskiej, gdzie przez całą zimę czyniły duże spustoszenia wśród sarn. Poprzedniego dnia wieczorem zaprosił nas telefonicznie nadleśniczy na następny ranek do gajówki Nustki, w pobliżu której miał otoczone fladrami 5 wilków. Ponieważ żona nie chciała jechać ze względu na ważny moment pieczenia bab wielkanocnych, a ja nie bardzo ją namawiałem, nie wierząc, by wilki przenocowały w miocie, pojechałem więc sam. Zima była jeszcze w całej pełni, sanna wyśmienita i silne, nocne mrozy skuły głębokie śniegi w twardy pancerz, który nigdzie nie zapadał się pod ciężarem człowieka. Jednakże niedawno spadła cieniutka warstewka świeżego śniegu pozwalała z łatwością tropić. Wilki były

otoczone w dużym 100-hektarowym oddziale bardzo przejrzystego, niczem niepodszytego, liściastego lasu, w głębi którego tylko gdzieniegdzie były rozsiane wyspy łozowych zarośli. Okazało się, że jeden z wilków wyszedł w nocy z ostępu, cztery zaś w nim pozostały. Nadleśniczy rozstawił myśliwych przy fladrach w odstępach 80-metrowych. Widziało się po dwóch sąsiadów z każdej strony, mając przytem przed sobą dogodny obstrzał conajmniej na 120 metrów. Z prawej strony stał przy mnie jeden z leśniczych, za nim pułkownik Korpusu Ochrony Pogranicza, dalej znów leśniczy; z lewej — major tegoż korpusu, wreszcie nadleśniczy. Wszyscy, prócz nadleśniczego i mnie, uzbrojeni w gładkie śrutówki.

Dzień był cudowny, bezwietrzny, koło południa mocno zaczęło przygrzewać słońce. Gdy z kilometrowej odległości zaczął dolatywać stłumiony pogwar licznej naganki, daleko z prawej strony ukazały się dwa nieduże wilki, defilując wzdłuż fladr niedbałym truchcikiem w odległości 70 metrów od linji. Widzieli je wszyscy prawie myśliwi, a one musiały widzieć fladry, a może i niektórych strzelców, gdyż stale trzymały się jednakowej od nich odległości. Stojący na prawem skrzydle posiadacze śrutówek nie strzelali, przepuściłem i ja wilki bez strzału, nie będąc go pewnym kulą do ruchomego celu i nie chcąc psuć polowania przedwczesnym, a niepewnym strzałem. Gdy jednak wilki zrównały się i nieco minęły stanowisko majora, większy przystanął, odsłaniając mi lewy bok.

Mgnienie wahania — i padł mój strzał. Wilk wyraźnie zaznaczył i w wielkich susach znikł w miocie, skąd go później nieżywego wyniosła naganka. Przez to mgnienie wahania w mózgu moim lotem błyskawicy skrzyżowały się sprzeczne myśli, któreby można sformułować tak: „nieetycznie jest strzelać do zwierzyny, stojącej przed stanowiskiem sąsiada — sąsiad ma śrutówkę, z której nie sięgnie na 70 metrów, podczas gdy ja jestem pewien kulowego strzału na 100 metrów do nieruchomego celu — bardziej prawdopodobnem jest, że wilk, widząc fladry i nie napierany jeszcze przez nagankę, pójdzie w głąb miotu, a nie ku myśliwym".

Inaczej jednak, jak się później okazało, rozumował major, który już rurą wił, a cyngla tykał: „gdyby ten utrapiony sąsiad nie był strzelił w niedozwolonem już dla siebie przez etykę myśliwską miejscu, wilk mógłby po chwilowym namyśle zmienić kierunek i zawrócić wprost na mnie — kto wie, możeby nawet przyszły obydwa pod mój loftkowy dublet".

Tymczasem naganka, słysząc strzał, parła ze zdwojoną werwą i niebawem rozległy się liczne strzały na skrajnem, prawem skrzydle myśliwych. Zobaczyłem dużego, bardzo ciemnego wilka, jak walił wzdłuż linji strzelców ze stulonemi uszami, z tejże strony, skąd przyszły dwa pierwsze, tylko znacznie bliżej. Mój prawy sąsiad wygarnął do niego loftkami, poczem wilk się przewrócił, lecz powstał i szedł ku mnie ostro na kulawy sztych, zamierzając przekroczyć fladry między mną a majorem. Tu po raz wtóry tego dnia zawahałem się, czy należy strzelać, czy też nie. Wilk niewątpliwie dostał od leśniczego, lecz mógł ujść jeszcze daleko. Puściłem więc kulę i tym razem, — i zwierz ze strzaskaną czaszką ciężko osiadł na śniegu. Trzeciego wilka zabił dalszy leśniczy, czwarty zaś poszedł lekko ranny przez pułkownika.

W rezultacie okazało się, że mój sąsiad leśniczy nie miał mi za złe dobicia swego wilka, natomiast major patrzał na mnie bardzo krzywem okiem, — i w dniu tym po raz pierwszy od początku mojej długiej karjery łowieckiej reputacja moja, jako etycznego myśliwego, została poważnie zakwestjonowana. Toteż miłe skądinąd wspomnienia z tego słonecznego, przedwiosennego polowania, gdzie całą akcję widziało się, jak na dłoni, popsuł mi przykry posmak cudzej krzywdy i pretensji rzeczywistej, czy urojonej — któż to zgadnie? Wątpliwości te mógłby rozwiać jedynie wilk-nieboszczyk, gdyby ożył i zechciał zeznać, w którą stronę zamierzał iść: czy ku majorowi, czy w głąb miotu, czy też dalej wzdłuż fladr na niechybny, kulowy strzał nadleśniczego.

W charakterze wilka dziwnie łączy się niesłychana odwagi ze śmiesznem tchórzostwem. Dowodem pierwszej był dla mnie fakt porwania psa podwórzowego przez wilka przed kilku laty na naszym dziedzińcu.

W bardzo ciemną, zimową noc stróż nocny siedział, oparty plecami o ścianę stajni i zapewne drzemał, co, jak wiadomo, jest stałem zajęciem stróżów nocnych, gdy obudziło go niespokojne naszczekiwanie jego psa, niedużego kundla. W pewnej chwili piesek podbiegł do swego pana i ukrył się w fałdach długiego kożucha, w tym samym jednak momencie przerażony stróż poczuł jakieś wielkie, kosmate cielsko, ocierające się o niego, i rozpaczliwe szamotanie się skowyczącego pieska u swych stóp. Nawpół przytomny ze strachu zaczął zadawać ślepe ciosy kijem w przestrzeń, usłyszał jednak tylko szybko oddalające się zawodzenie psa — i więcej go nie ujrzał.

Zawiadomiony o tem, poszedłem nazajutrz rano tropić i skonstatowałem, że pojedyńczy wilk porwał psa, niósł go w pysku aż do krańców podwórza, gdzie przyłączyły się do niego dwa inne, i na brzegu lasu we troje tak dokładnie skonsumowały swą ofiarę, że pozostało po niej tylko trochę kłaków i krwi. Nie mogłem nawet zemścić się na bandytach za ich czyn okrutny, gdyż po dokonaniu zbrodni poszły daleko.

Tyle o wilczej odwadze. Wybitne znowu dowody tchórzostwa dał trzeci wilk, zabity przez moją żonę na pierwszej ponowie zimy, 1 listopada 1931 roku.

Wróciłem do domu późną nocą i spałem długo, gdy mnie zbudziło koło 9-ej rano niespokojne bieganie objazdowego pod oknami. Okazało się, że w ósmym oddziale są otropione dwa wilki.

Po paru godzinach już je na nas pędzono, po wyjściu jednak naganki okazało się, że jeden z wilków przeszedł pod sznurem w miejscu nieobstawionem, drugi zaś nie wyszedł z miotu. Naganka pozostała na miejscu, a my zajęliśmy przeciwległe rogi oddziału. Tym razem wilk, idąc tuż przed naganką, wyskoczył na moją żonę, lecz, chybiony w pełnym biegu, zawrócił, chcąc przerwać się przez nagankę; niebawem jednak spotkał się oko w oko na wąskiej ścieżce, otoczonej zwartą, świerkową gęstwiną, z jednym z gajowych, który głośnemi okrzykami zmusił go do powrotu. Dopadłszy do fladr o 40 kroków od stanowiska żony, wilk, zdezorjentowany i wystraszony tyloma naraz niespodziankami, przywarował na otwartem zupełnie miejscu. Żona moja, myśląc, że wilk jest śmiertelnie ranny pierwszym strzałem i już dogorywa, nie chciała strzelać, aż dopiero po dobrej chwili porwanie się wilka na nogi skłoniło ją do dania drugiego strzału, tym razem naprawdę śmiertelnego.

Powracając do letnich i jesiennych obław na wilki, gdyby to odemnie zależało, — zabroniłbym ich praktykowania — z całą bezwzględnością. Współczesny myśliwy, zaopatrzony w dobrą broń i fladry, może tak skutecznie walczyć ze zbytniem rozmnażaniem się tego niezaprzeczenie szkodliwego, lecz jakże miłego, jako zdobycz, zwierza, by wyrzec się obrzydliwego tępienia szczeniąt.

JÓZEF WOYNIŁOWICZ.

SPROSTOWANIE.

W artykule p. t. „Trofea poleskie" M. hr. Potockiego w wierszu 4-ym od dołu pierwszej szpalty na str. 3-ej Nr. 1 „Ł. P." wkradł się lapsus: wydrukowano „bogata w naturalną faunę poleską, knieja potrafi wyhodować byka, przed którym ustąpić będą musiały niejedne wiedce, w kłopotach zdobyte". Powinno być: „bogata w naturalną paszę"...

WŚRÓD JELENI W WIELKOPOLSKICH LASACH.

(Obrazki z natury i rozważania — ciąg dalszy).

W roku 1933, korzystając we wrześniu z miesięcznego urlopu, po kilku dniach, spędzonych na Polesiu, gdzie nastrzelałem się na osadach dosyta, postanowiłem spędzić ostatni tydzień wśród jeleni na rykowisku. Do odstrzału przypadł mi ten sam rewir, co i w roku poprzednim, rewir pograniczny, obfitujący w jelenie. Rewir ten był przed 10-ciu laty w znacznym stopniu zniszczony przez sówkę-chojnówkę. Pozostały tylko oazy lasków i młode, dziś bujnie podrastające zagajniki o różnorodnej wielkości drzewek. Pasza w rewirze tym jest bardzo uboga, na skutek czego jakość jeleni pozostawia dużo do życzenia. Zastrzelony przezemnie w roku ubiegłym czternastak, nagrodzony już trzema odznaczeniami na pokazach w Warszawie, Poznaniu i Gnieźnie, uważany był za wyjątkowego byka, przybyłego z innych okolic, obfitujących w paszę.



Inż. Tad. Śliwiński z wieńcem z kniej wielkopolskich.

Przed rykowiskiem porobiłem różnorodne studja na zasadzie literatury i niemieckich płyt gramofonowych nad sposobami ryczenia i, mając już trochę praktyki oraz poniekąd teorję, postanowiłem przeprowadzić studja w terenie. Aby jak najmniej zakłócać spokój jeleni, przed każdem wyjściem perfumowałem sobie obuwie olejkiem anyżowym, co, jak mogłem skonstatować, obserwując z poza stosu drzewa przecinającą mój świeży ślad łanię z młodem, wywołało u tej ostatniej jakby zdziwienie, ale nie było tam niepokoju ani popłochu. Łania, zwabiona mojem ryczeniem, po przejściu mojego świeżego tropu, pasła się odemnie o kroków czterdzieści i pół godziny byłem przykuty do miejsca, aby nie spłoszyć nadobnej pani i jej ślicznego synka. Również innym razem widziałem młodego byka, który przeszedł przez dróżkę, którą przebyłem przed półgodziną, bez żadnej reakcji z jego strony. Wyposażyłem się i w laskę własnej roboty dla podparcia w razie strzału ze sztucera. Laska ta składa się z dwu części — zewnętrznej, składającej się z mosiężnej, lekkiej rury, zakończonej ostrym szpicem, a mającej u góry dwa otworki, leżące naprzeciwko siebie; w rurę tę wchodzi właściwa, drewniana laska, rodzaj ciupagi. Ta wewnętrzna laska ma co trzy centymetry otworki. U góry zewnętrznej rury na łańcuszku przymocowałem czopek, który w czasie marszu łączy rurę zewnętrzną z wewnętrzną laską. W razie przygotowania do strzału wyjmuję czopek i, wysuwając wewnętrzną laskę na pożądaną wysokość, zamocowuję ją przez otwory w odpowiednim otworze czopkiem; w ten sposób mam wygodne oparcie dla sztucera, a przez to możność strzału na znacznie dalszą metę. Jest to ważne na terenie, prawie pozbawionym większego drzewostanu, a nawet drągowiny. Zewnętrzną i wewnętrzną laskę umalowałem na zielono.

Z leśniczym p. M. udaliśmy się w godzinę po przyjeździe do krańcowego punktu rewiru, gdzie na skutek silnego, od kilku dni panującego, południowego wiatru powinna była się gromadzić zwierzyna. Był tam ostęp, rodzaj parowu, pokryty 2—3 metr. zagajnikiem, z dwóch stron otoczony wzgórzami, a otwarty i kończący się 40-letnim drzewostanem od strony granicy państwowej i sąsiedniego nadleśnictwa S.

Zbliżając się do wyznaczonego miejsca, obeszliśmy rewir tak, aby wiatr od nas i odgłosy kroków nie zalatały do rewiru. Przekradając się wzdłuż ostępu, usłyszeliśmy na odkrytych wzgórzach jelenie, a w niedługim czasie zauważyliśmy dwa byki: jednego szóstaka, drugiego dziesiątaka, jak wynosiły się z rewiru. Dziesiątak nie był nadzwyczajny, porykiwał zrzadka. Ładna perspektywa, — jeśli wszystko się będzie ciągle pod wiatr wynosić. Zawabiłem na rogu, dziesiątak, nie zmieniając kursu, odpowiedział zaraz, poczem z głębi ostępu odezwały się kolejno dwa jelenie. Z głosu jeleni wnosiłem, że mam przed sobą na lewo jednego średniego, a drugiego silnego byka, o głosie jakimś dziwnym, niesamowitym. Głos był silny, basowy, lecz w jakiejś specjalnie nosowej, charkoczącej tonacji. Zawabiłem raz jeszcze, ale o ile młody a dalszy byk odpowiadał, o tyle ten starszy, niesamowity przerwał i już się tego wieczora nie odezwał. Może go coś zraziło i napełniło podejrzeniem, lub też zbyt głęboki i silny ton mego rogu wzbudził w nim obawę, że to jakiś bardzo silny jeleń przyszedł do jego ostępu. Wobec tego, że wszelkie próby nawiązania dyskusji spełzły na niczem, a wieczór się zbliżał, postanowiłem dnia tego wycofać się jak najspokojniej i na drugi dzień wznowić kontakt.

O godzinie wpół do czwartej zrana wyruszyliśmy znów do tej samej sekcji, ale zaszliśmy z drugiej strony rewiru, aby być ciągle pod wiatr w stosunku do tego zagajnika, gdzie jelenie przebywały. Zbliżając się do pogranicznych rewirów, obłożyliśmy kawałek drogi i na pół godziny przed wschodem słońca znaleźliśmy się na polanie, graniczącej z jednej strony z ostępem, a z drugiej z bardzo gęstym zagajnikiem, zasobnym w jeziorko, chętnie odwiedzane przez jelenie. Noc była bardzo ciepła, około 12° C., jelenie odzywały się naogół słabo, w zagajniku ryczał jeden tylko jeleń; głos tego jelenia był jakby znajomy: czy to nie zeszłoroczny organista; drugi zaś, grubszy, odzywał się bardzo rzadko. Zbliżywszy się nieco pod wiatr do ostępu, skonstatowałem, że ten grubszy, to ten sam, co wczoraj, odzywa się bardzo niskim basem w jakiejś dziwnie djabelskiej, charczącej tonacji. Postanowiłem obserwować dolinkę, przylegającą do ostępu i cały zamieniłem się w słuch, przypuszczając, że wcześniej czy później jeleń, któ-

puszczając, że wcześniej czy później jeleń, który nie wychodził wczoraj z przeciwnej strony, dziś wyjdzie z tej strony. Słońce podniosło się ponad wyniosłości i rozzłociło rozległe wzgórza i pagórki. W pół godziny po wschodzie zaczęły milknąć jelenie, i nastała ta królewska, jesienna cisza, która cechuje niekiedy koniec września. Tylko nieliczne kropelki rosy, spadając z drzew, mile szeleściły, uderzając po usychających liściach. Uzbroiłem się w cierpliwość i siedziałem na jelenim dukcie, schowany pomiędzy stosami gałęzi z drzew dawnych porębów. Godzina upływała za godziną, żaden głos nie dochodził z zagajników, — tak przesiedziałem do 11-tej w południe, poczem poszedłem do leśniczówki.

Po obiedzie wyruszyłem znów około 4-tej na to samo miejsce, aby obserwować zdaleka ostęp i ewentualnie jego mieszkańców.

Zbliżając się do sekcji, usłyszałem znów głos melodyjnie wyciągającego jelenia. Było około wpół do piątej. Tak, ten jeleń zupełnie podobnie i w tymże czasie zaczyna, jak przed rokiem słyszany organista, czy tylko się nie mylę. Czy mógłby jeleń utrzymać się w ciągu roku w tych samych miejscach? Ciekawość mnie przemogła, więc starałem się podsunąć jak najbliżej do tego byka. Lecz, jak się przy dalszem podchodzeniu okazało, byk ten ryczał wśród gęstego zagajnika, w którym dziś rano odzywał się „niesamowity".

Zająłem więc stanowisko, jak zrana, przy stosie ułożonych gałęzi. Uważam, że takie stosy daleko lepiej maskują myśliwego, aniżeli poszczególne krzaki lub ich grupy. Zdarzyło mi się, że jelenie, przechodząc za mojemi plecami o pięćdziesiąt kroków, nie zauważyły mnie, aczkolwiek w całości byłem z tej strony odsłonięty. Widocznie kształty i barwa stosów drzewnych, a szczególnie gałęzi, bardziej zlewają się z postacią siedzącego myśliwca, niż przeświecające bądź co bądź krzaki. Tylko zwarte krzaki jałowca dają dobre ukrycie. Ambony, według mnie, przedstawiają względną wartość.

Polana, na której się znajdowałem, otoczona była z jednej strony wysokiem wzgórzem, za którem ciągnął się pas zagajnika, który wczoraj obchodziliśmy wieczorem. Z poza wzgórza odezwał się głos drugiego jelenia. Obserwując to wzgórze, zauważyłem pasącą się na niem łanię, potem znów wyszły dwie, wreszcie byk i jeszcze dwie łanie. Przyglądając się z odległości 500—600 kroków przez lornetkę, zaobserwowałem, że byk jest niezłym dziesiątakiem o jednej koronie i dość długich tykach. Głos jego był jednostajny, drżący, bez tych modulacyj, jakie zazwyczaj ma byk przy chmarze. Był to jeleń stosunkowo młody, o małej grzywie. Długie jednak jego tyki mogły budzić poszanowanie wśród przeciwników. Byk, wyszedłszy na szczyt wzgórza, wygodnie rozłożył się na piasku i zaczął się tarzać, przerzucając się z jednego boku na drugi, nie przez grzbiet jednak, bo w tem mu przeszkadzał wieniec, lecz przez podgięte nogi. Leżąc, wydawał jakieś mruczące dźwięki czterozgłoskowe, w których tętniła radość z posiadanego stada, radość życia...

Poczem podniósł się i, zarzuciwszy na grzbiet swój wieniec, rzucił wyzwanie pod adresem ciągle odzywającego się w wąwozie organisty. Przyjrzawszy mu się dosyta, na zasadzie głosu i wieńca, który przez lornetkę Zeissa dość dobrze mogłem rozróżnić, przyszedłem do przekonania, że za tym bykiem chodzić jeszcze warto. Naprzeciw wzgórza, gdzie pasła się chmara, wysunęła się z małego wąwozu para jeleni o dwieście kroków odemnie: on ósmak, ona młódka jeszcze. Dziesiątak na wzgórzu zaczął z zainteresowaniem obserwować parę, następnie, początkowo kłusem, a potem pełnym galopem zaczął pędzić ze wzgórza wprost na ósmaka. Widać zawadjakę z tego ataku młodego rogala. Myślałem, że ósmak rzuci się do ucieczki, lub nastawi rogi na przyjęcie pędzącego wroga, tymczasem, gdy tamten był na 100 kroków od niego, ósmak przystanął i najspokojniej zaczął skubać trawę. Co ten manewr miał znaczyć? Chyba tylko..., że ósmakowi nie zależy na towarzyszce. Jakoż dziesiątak podbiegł do nich, obwąchał wszystkie organy młodej łani, poczem rogami nakazał jej iść w stronę stada. Biedny ósmak podkurczył tylne nogi, aby być gotowym do raptownej ucieczki, jeśli go dziesiątak zaatakuje i łypał niespokojnie oczyma, skubiąc niby to trawę. Do ucieczki nie miał ochoty, a może bał się, że młody dziesiątak go dogoni, więc wolał udawać, że nic go to nie interesuje, że dziesiątak odprowadza od niego jego jedyną. Potem, gdy już dziesiątak wrócił ze swą zdobyczą do chmary, zaczął ósmak oddalać się, a zarazem porykiwać, odgrażając się i wymyślając dziesiątakowi co się zmieści, jak chłopiec, pobity przez mocniejszego przeciwnika, daje sobie ulgę już z bezpiecznego miejsca, wymyślając od ostatnich, że on jeszcze pokaże, że czekaj, porachujemy się, ty siaki-taki... Dziesiątak odpowiedział mu przeciągle, wyzywająco i zakończył tryumfalnym akordem, o którym wspomina hr. Münster. Scenę spotkania tej trójki obserwowałem o dwieście kroków i wszystkie szczegóły, a nawet pewna mimika jeleni była zupełnie wyraźna. Ciekawa też była przyglądająca się galerja, t. j. pięć łań, stojących na wzgórzu, które, wyciągnąwszy swe miłe mordki, z ciekawością przyglądały się z góry. Ósmak jednak był widać gracz osobliwy, bo do walki nie stanął, a uciekać nie chciał, aby się nie poniżyć wobec licznego, przyglądającego się zgromadzenia.

Wieczór zapadał w szybkiem tempie. Wieczór cichej, polskiej jesieni, kiedy po rozsłonecznionym dniu ginie światło, a z różnych zakamarków wraz ze zmrokami wieczoru występuje ożywczy chłodek. Niebo co chwila zmieniało barwy, zwłaszcza na zachodzie, to mieniąc się złotem i purpurą, to stonowanemi barwami amarantu, obramowanego bursztynowym poblaskiem gdzieś tam, za górą ukrytego już słońca. Od wschodu niebo staje się coraz ciemniejsze, kontrastowo odmienne w kolorach. Jest tam już spokój nadchodzącej nocy, kiedy na zachodzie gra świateł jeszcze jest w całej pełni, a pyszne barwy mówią jeszcze o życiu. Mrok zlewa poszczególne grupy drzew w bloki jednostajnej ciemni, powstają po dolinach jakby nowe twory o różnorodnych kształtach. Tylko na wzgórzach jeszcze można rozróżnić poszczególne sosny lub świerki. W głębi drągowin i zagajeń już noc, a na piaszczystych szczytach lub trawiastych zboczach gra świateł wieczoru daje pyszną kaskadę barw. Brzozy bielą i złotem mienią się, jakby barwni strażnicy na brzegu zagajów. Od łąk i mokradeł podnosi się szarość mgieł wieczornych, gęstniejących w bliskości błyszczącego jeziorka. Mgły wyciągają się i spowijają odsłonięte leśne łąki w biały całun szczególnego jakiegoś spokoju. Wszystko cichnie i układa się do snu, tylko wśród mieszkańców zagajów zaczyna się to wieczorne życie. Odgłosy wabiących jeleni wraz z zanikającem światłem wzmagają się i potęgują. Wszystko razem: ten ginący dzień i te dziwne dźwięki tworzą jakieś czarowne widowisko, jakieś teatrum. Przypomina się zwrotka myśliwskiej pieśni:

I nie jest że to przyjemność szczera,
Gdy byki w lesie odezwą się?...
Niczem z ich głosem każda opera,
Chociaż byczysko aż gardło drze.

Wtem z za wzgórza odezwał się znany dźwięk. To ryczał „niesamowity".

— Jesteś nareszcie, szanowny dobrodzieju, — pomyślałem sobie i zacząłem wabić, tym razem nie na rogu, lecz na muszli, udając średniego jelenia. Niesamowity, będący odemnie za wzgórzem na ca 400 kro-

ków, charczał wyzywająco, rzucając przez nos jakieś dziwne, odrażające głosy. Wszystkie dotychczas ryczące jelenie, nawet organista, zamilkły, wsłuchując się w dziwny głos niesamowitego, a może i w mój, t. j. naśladowanego jelenia, który przeciwstawia się takiemu strasznemu bykowi.

I znów mrok, ten mrok, który tak psuje obserwacje myśliwym, zaczął coraz bardziej wypełniać wąwozy i doliny i panować niepodzielnie po drągowinach, zestrajając się z ciszą wieczorną, pełną smutku i spokoju, pełną ginących barw, coraz mniej jaskrawych. Tylko przeciągłe głosy jeleni odbijały się coraz wyraźniej. Zawadjacki dziesiątak i obrabowany ósmak spierały się jeszcze o młódkę. Organista nabrał wigoru i raz po raz ciągnął swym głębokim barytonem, a niesamowity widocznie szedł w moim kierunku, gdyż głos jego coraz zbliżał się do mnie. Odpowiadałem mu, grożąc od czasu do czasu, co wywoływało zdwojone objawy irytacji i pogróżek. Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, a ostrożny niesamowity trzymał się jeszcze zarośli. Wreszcie, po jakiemś więcej udanem wyzwaniu z mej strony, ukazał się. Było jednak późno, sylwetka ledwie widziana była gołem okiem, a lornetka, aczkolwiek dała mi bardziej wyraźne kształty i silną grzywę, to jednak rogi były niewidoczne, gdyż zlewały się w jedną całość z zagajnikiem, przed którym stał i ryczał niesamowity o 200 kroków odemnie. Przyłożyłem raz i drugi sztucer, biorąc na muszkę jelenia, ale strzał był zupełnie niemożliwy. Odłożyłem więc sztucer i postanowiłem sprowokować go do zbliżenia. Jakoż na moje wyzwanie niesamowity odpowiedział wyzwaniem i truchta ruszył wprost na mnie. Wytężałem przez lornetkę wzrok, raz coś na jaśniejszym piasku zamajaczyło mi, niby kielich wieńca, a potem znów nic i nic. Jeleń stanął wreszcie o pięćdziesiąt kroków przedemną i wyzywał niewidzialnego przeciwnika na pojedynek. Tupał i chrapał. Wreszcie zaczął wietrzyć, wciągając powietrze dziwnie, niczem dzik.

Co za djabeł, myślałem, przykulony do stosu drzewa, milczałem jak zaklęty, aby na bliższą odległość nie przyszedł, nie wyminął mnie i nie zwietrzył. Stał kilka minut, widoczny w mroku, jakby ciemna plama, mógłbym strzelić nawet, ale czy był wart strzału? Rogów już nawet przez lunetę nie widziałem. Miałem w ręku silną lampkę elektryczną, ale nie chciałem jej użyć, aby nie spłoszyć zwierza. Wreszcie nawinęła się jakaś samotna łania, za którą znów, przejmująco chrapiąc, pobiegł niespłoszony, dziwny ten rogal. Mrok wszystko mi zepsuł. Tak się skończyło moje drugie spotkanie z niesamowitym. Ostrożnie, zrzadka porykując, wyniosłem się z rewiru.

Ostatnie blaski na zachodzie pogasły. Ciemnia równa, głęboka objęła w posiadanie ziemię i niebo. Tylko coraz liczniejsze gwiazdy zaczęły pobłyskiwać na firmamencie. Wszystko, jakby urzeczone w zaczarowanym śnie, pogrąża się w prawie — nocy, prawie — spoczynku. Zrzadka tylko odezwie się ptak nocny. Zdawałoby się, że puszcza usypia cała, że nic nie zakłóci tej bezdennej ciszy. Lecz nie jest tak w porze rykowiska, w czasie rui. Na sygnał jednego, tego kapitalnego, odzywają się inne, dalsze. Od puszczy do boru, od boru do zagajów i kniej idzie wieść radosna, niesiona przez wiatry, odbijane przez echa, że czas godów już się rozpoczął. Że rozpoczyna się wielka gra, wielkie zawody, i pręży zwiotczałe mięśnie, więc nie śpi stary byk, który chmary prowadził, a który dziś tylko może się rozkoszować głosami swych kolegów, wtórując im od czasu do czasu głosem starego zrzędy; nie śpi i młody, dorastający, którego ponosi chęć ogromna, aby zewrzeć się w miłosnem upojeniu z upatrzoną łanią, znajdującą się w haremie kapitalnego. Czuwać musi i ten ostatni, bo pełno partnerów kręci się tu i tam, pełno amatorów, którzy radzi skorzystać z lada zamieszania, aby uszczknąć jedną czy więcej łań ze stada i odprowadzić gdzieś na boczek. Strzedz się musi też kapitalny i jelenia włóczęgi, aby ten, wypatrzywszy chmarę i prowadzącego, znienacka nie podkradł się milczkiem w gąszczu i z tyłu go nie uderzył. Uważać musi i na spryciarza wsiecznika, który, nie mając siły do walki, wpadnie między chmarę przerażony, niby w ucieczce przed największem niebezpieczeństwem — człowiekiem i rozproszy chmarę, a potem, zgrabnie zaganiając, połowę łań sobie zabierze. Ciężkie ma zadanie on, władca chmary, kapitalny byk. Łanie kapryśne nie trzymają się kupy, przodowniczka niezadowolona, że on zbyt mało jej się udziela, mizdrzy się do lada ósmaka. Czasem gdzieś ginie. Kibic czy „bejhirsz" za dużo sobie pozwala i trzeba go uczyć rozumu, gdyż często wychodzi z roli ucznia i, korzystając z chwilowego, południowego odpoczynku starego, chce wejść w jego prawa. Trzeba pilnować swego stanu posiadania w dzień i w nocy.

Powracając wśród nocnej ciszy, nasycałem się jesienną wonią lasu i rozmyślałem nad ostatniem spotkaniem. Przychodziły mi pewne refleksje, że nie strzeliłem. Jeleń, według głosu, był czemś osobliwem. Może pójdzie moim śladem i wykryje, że ten jego rywal, to nie jeleń, tylko człowiek; czy można polegać na zamaskowaniu się od czułego jeleniego węchu? Czy znajdę go jutro w tych samych okolicach? Tak rozmyślając, przebyłem po nocy czterokilometrową przestrzeń, oddzielającą mnie od leśniczówki.

Sen miałem przerywany, pełen jakiegoś niepokoju. Budziłem się co godzina i spoglądałem na zegarek. Wyruszyłem na godzinę przed świtem, aby o brzasku być na miejscu. Zbliżając się do ostępu, usłyszałem ryczącego byka, odzywał się oczywiście organista, ale zmienił miejsce pobytu i przesunął się o kilometr bliżej do leśniczówki. Gdzieś przedemną odzywał się młody jeleń, wyciągający drugi ton długo, przeciągle, jakby wył pies, przywiązany na łańcuchu. Obszedłem tego byka, kołując na ½ kilometra i ostrożnie, krok za krokiem, zbliżyłem się z pierwszym brzaskiem do miejsca, gdzie sobie zaimprowizowałem czatownię pomiędzy stosami. Gdzieś poza granicą odzywał się znów inny jeleń. Niesamowitego nie było słychać.

Płynął kwadrans za kwadransem, brzask zamienił się w wyraźny świt, a ten znów rozpłynął się w światło zarania, aż pokazał się jaskrawy rąbek wschodzącego słońca. Zimniejszy powiew wiatru zbudził mnie z tego nastroju, w jaki popadłem, wsłuchany w poranny koncert jeleni i zapatrzony w budzący się dzień. Upłynęło z półtorej godziny, trzeba coś przedsięwziąć. Zawabiłem na muszli i znów w tem samem miejscu, gdzie wczoraj, z poza góry ozwał się niesamowity, a później znów jakiś stary jeleń znacznie dalej. Postanowiłem przysunąć się bliżej. Ostrożnie wyruszyłem ze swej kryjówki między stosami i, idąc możliwie najciszej, aby nie nadepnąć na suche gałęzie, podniosłem się na rozległe wzgórze, za którem przebywał poszukiwany przezemnie byk. Na wzgórzu znajdował się cypel rzadkiego zagajenia, przechodzącego na drugą stronę wzgórza i spuszczającego się w dolinę, którą przecinała leśna dróżka. Po drugiej stronie dróżki zagajnik przechodził w zwartą masę, rozścielającą się po przeciwległem, dość stromem wzgórzu. Następne wzgórze to całe pokryte było 2—3 metrowemi sosenkami, szczelnie przylegającemi w wyraźnie zarysowanych rzędach.

Osiągnąwszy najwyższy punkt wzgórza, miałem wprost przed sobą szyję zagajnika, a z prawej strony w dolinie ćwierćmorgową łączkę, z lewej zaś strony odsłonięte wzgórze, a dalej rzadką drągowinę. Ukryłem się pomiędzy kępą dość gęstych sosen i zacząłem obserwować dolinę i przeciwległe wzgórze. Siedziałem tak z pół godziny i widziałem tylko lisa, jak myszkował na drodze. Rzuciłem okiem na zegarek. Było już

po siódmej. Jelenie ułożą się wnet w legowiskach — perspektywa zmarnowanego trzeciego poranka dodała mi bodźca, aby działać.

Postanowiłem sprowokować niesamowitego i zawabiłem możliwie najwyżej, udając młodego byka przy stadzie. Efekt był natychmiastowy. Nieco na prawo odemnie na przeciwległem wzgórzu zakołysały się kity sosen. Odrzucając na lewo i prawo czuby drzewek, wprost na mnie byk sadził tęgiego kłusa, raz i drugi mignął mi wieniec, widziałem liczne końce.

Jeszcze bardziej na prawo, tylko wolniej, szedł też na mnie drugi jeleń. Skamieniałem w bezruchu. Pierwszy z jeleni zatrzymał się wprost przedemną. Stanął i zacharczał swym, przejmującym, czarcim głosem. Odpowiedziałem mu wyzwaniem do walki. Znów przebiegł i stanął. Łomotnąłem raz i drugi laską po gałęziach, a potem zaryczałem znów, jak jeleń przy stadzie.

Niesamowity odpowiedział wściekłym charkotem, lecz stał w miejscu, oczekując, że ja mu się ukażę. Drugi byk z prawej strony rzucił nieco słabo też wyzwanie do walki i wysunął się na polankę; był to mocny ósmak. Niesamowity, jakby podniecony tajemniczością jelenia, zaczął się skradać do mnie, milcząc i postępując ostrożnie krok za krokiem. Będąc znacznie wyżej, obserwowałem przez krzaki jego ruchy. Zagrzmiałem znów poczwórnem ech, ech, ech... ech. Niesamowity przysunął się do mnie na czterdzieści kroków i stanął przed samą drożką, w gąszczu.

Z pośród sosenek wychyliła się poczwórna korona, ale nic poza tem, nic literalnie nie było widać. Zaczął wreszcie wietrzyć swym dziczym sposobem. Ze sztucerem przy oku szukałem punktu, gdzie umieścić kulę, ale ryzyko strzału w niewiadome było zbyt wielkie. Gdyby jeszcze teren równy, łatwo byłoby wykombinować gdzie należało posłać kulę, ale w danym wypadku, mając do tego wprost oczu słońce, nie zdecydowałem się. A może wyjdzie na drogę. Lecz nie, czegoś się lękał ten koronowany, doświadczony byk. Tak staliśmy milcząc ze trzy minuty naprzeciw siebie. Wzajemne oczekiwanie przerwał ósmak, który ruszył wprost na mnie, widoczny prawie ciągle, jak na dłoni. Ten ruch ósmaka zauważył niesamowity, bo popędził w galopie wprost na młodego byka, parę razy mignął mi w zagajach wieniec, lecz do strzału nie mogłem dojść. Oba jelenie zaczęły podnosić się na następne wzgórze, dzięki spadzistości którego mogłem je od czasu do czasu dojrzeć.

Wtem z tyłu, z prawej strony, poza sobą prawie, usłyszałem głos nowego jelenia. Jakoż przez polanę, na której siedziałem wczoraj i dziś o świcie, szło stadko jeleni. Byk dziesiątak z dwoma trójkami i trzy łanie. Byk zatrzymywał się od czasu do czasu i ryczał przeciągle dźwięcznym barytonem. Był to „organista". Silny dziesiątak o czarnych rogach przechodził zwolna w stronę zbocza, na którym znajdował się niesamowity i ósmak. Nareszcie mogłem zobaczyć i organistę, którego ze sposobu odzywania się znam bodaj czy nie drugi rok. Łanie wchodzą do zagajnika, a byk, stając u brzegu, ryczy raz po razu. Mam go na strzał, ale wolę tamtego, bo ma czwórkę w koronie. Odpowiada organiście niesamowity. Dziesiątak wymija swoje małżonki i idzie przodem. Niesamowity, a za nim ósmak, idą naprzeciwko. Jelenie ryczą, ale żaden z nich nie wypowiada walki. Może to stali bywalcy ostępu — znają się. Nareszcie widzę całego jelenia, składam się. Nie — to ósmak. Ale przed nim o dwadzieścia kroków chwieją się gałęzie. Jest... jest... poczwórna korona. Odsłania wreszcie i pysk, prawie zupełnie siwy. Znów idzie. Znów widzę koronę, ale widać i szyję. Opieram się na wysuniętej lasce i, celując w środek szyi, pociągam za cyngiel.

Buchnął strzał. Trzask krzaków, łoskot o drzewa rogów, a potem cisza i cisza. Nie spuszczam z oczu miejsca gdzie strzeliłem, ale nic, żadne drzewko nie drgnie nawet na ułamek sekundy. W takim gęstym zagaju — to niedobrze. Trzeba jednak szukać, może leży za górą. Strzał w szyję ma to do siebie, że jeśli byk dobrze strzelony, to daleko nie pójdzie. Jeśli źle, to pójdzie zdrów. Zauważywszy kilka punktów orjentacyjnych, spuszczam się w dolinę, wtem — buch, zapatrzony w małoznaczne drzewka, przewracam się, trafiwszy jedną z nóg w jakąś starą, lisią norę. Podnoszę się, lecz straciłem orjentację. Wracam więc na miejsce strzału i znaczę je kawałkiem powieszonego na drzewie papieru. Poczem spuszczam się w dolinkę i znów na czubeczku sosenki zostawiam kawałek gazety, następnie, oglądając się poza siebie, przebywam dolinkę i wspinam się na drugie wzgórze. Jeszcze kroków kilkadziesiąt i sprawdziwszy kierunek, jestem w tem miejscu, gdzie powinien leżeć byk. Ostry swąd wskazuje, że powinien być tuż, tuż. Jakoż jeszcze pięć kroków w górę od upatrzonego miejsca znajduję martwego jelenia z przestrzeloną szyją. Wieniec, zarzucony pięknie w tył, spoczywa na młodej sosence. Oglądam rogi. Dwunastak z jedną poczwórną, drugą potrójną koroną, brak nadocznych odnóg wskazuje, że byk cofał się już w rozwoju wieńca. Zęby bardzo starte, grandle w jednej połowie już kasztanowate. Uperlenie bardzo słabe, róg miejscami nadpsuty.

Po bliższem badaniu tego jelenia przez leśniczego p. M., okazało się, że około prawego oka w jamie nosowej miał on owalną dziurę, przebitą rogiem jakiegoś rywala, stąd też ten przejmujący, niesamowity głos. Ranę byk ten otrzymał prawdopodobnie przed rokiem, miazga bowiem pod otworem, składająca się z potłuczonej kości i zeschłej krwi, była zupełnie skrzepnięta.

Jeleń miał podarte uszy, jedno nawet silnie postrzępione. Pomimo widocznych śladów licznych stoczonych walk i podeszłego wieku (15—18 lat), byk ważył 306 funtów i przenosił w wadze o 20 przeszło funtów ubitego w tymże rewirze w roku ubiegłym kapitalnego 14-ka. Djagnoza postawiona przy pierwszem spotkaniu, na zasadzie intonacji głosu tego byka, nie zawiodła i, aczkolwiek wieniec ważył tylko cztery kilo, tem nie mniej byk należał do ciekawych okazów, nadających się do odstrzału.

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

(D. c. n.)

GARŚĆ DROBNYCH UWAG HODOWLANYCH.

„Niech pan powie, dlaczego u pana jest tak dużo zwierzyny?" — oto pytanie, które tak często słyszymy, gdy po udanem polowaniu członkowie drużyny myśliwskiej, zasiadłszy wygodnie przy kominku, przeżywają po raz drugi piękne swe strzały do pędzonych bażantów, dublety i tryplety do zajęcy i krótkie przyrzuty do przemykających, jak iskry, królików na wąziutkim dukcie. Uprzejmy gospodarz, nie chcąc urażać swych gości, oświadcza wówczas krótko, że wszystko to się jakoś samo mnoży, no a piękny dzisiejszy rozkład, to jedynie zasługa doskonale strzelających gości.

W rezultacie stawiający pytanie niczego się nie dowiedział i wieczorem, wracając do domu, przemyśliwa nad sposobem powiększenia zwierzostanu w swoim rewirze, a nie wymyśliwszy nic nowego, mruknąwszy coś o cieplejszych ziemiach, otula się szczelniej w swą burkę, poprawia koc i, zmęczony całodziennem polowaniem, oraz trzema turami bridgea, zasypia błogo w połowie drogi do domu.

I rzeczywiście trudno nieraz wymyślić jeszcze coś nowego. Bo przecież wszystko już mamy. Leśnego w pięknym, zielonym kapeluszu z piórkiem, który, jak to wiemy, cały dzień chodzi ze strzelbą po rewirze i co miesiąc przynosi nam mniej lub więcej fałszywe zestawienie ubitych przez siebie drapieżnych myszołowów i domowych kotów. Mamy już pięknie założone remizy, coprawda przeważnie w mokrych dołkach i nieużytkach, gdzie, mimo systematycznie drenowanego majątku, woda jakoś na wiosnę nie chce stamtąd odpływać, stoi do końca maja i gromadzi się po każdym ulewnym deszczu czerwcowym. Mamy przecież i my porozmieszczane po całym rewirze budki dla kuropatw i bażantów. Pierwsze, coprawda, chętniej przebywają w cierniach przydrożnych, zadowalniając się ziarenkiem spadłem z woza od omłotu i tęsknem okiem spoglądają na piękną budkę w szczerem polu, lecz dystans od najbliższych, chroniących zarośli jest zbyt wielki i lepiej już obyć się plewką, niż łebkiem nałożyć. Zato bażanty, — te od pierwszego dnia przychodzą do budki i najłatwiej tam ubić koguta na kuchnię, kiedy perlice jeszcze za małe, a indyk za chudy. Wkońcu — i my sprowadziliśmy, ulegając namowom sąsiadów, skrzynię czeskich zajęcy i jajka bażancie. Nie badaliśmy wprawdzie płci zamówionych samic zajęczych, ani ich stanu zdrowotnego, bo przecież, płacąc po kilkadziesiąt złotych za sztukę, można być pewnym... no, a z jajkami to już pech prawdziwy: połowa się nie zalęgła, a reszta jakoś zmarniała na „tajemnicze" rozwolnienie.

Ale żarty na stronę. Nawet w rewirach, gdzie piękny kapelusz nie jest szczytem ambicji leśnika i gdzie nie strzela się bażantów przy budce, dużo jest zaniedbanych drobnych momentów, których systematyczne przestrzeganie wpływa niezmiernie na rozmnożę zwierzyny. Pierwszym i najważniejszym czynnikiem w tej dziedzinie jest osoba właściciela rewiru. Troskę o swój zwierzostan powinien on umieć zaszczepić nietylko swej służbie leśnej, gdyż jest to jej głównym obowiązkiem, ale całej swej służbie dworskiej, a co może jeszcze ważniejsze, sąsiadowi, drobnemu rolnikowi, od którego dzierżawi polowanie gminne. Ileż to bowiem razy w roku życie młodego zajączka zależne jest od uwagi i życzliwości naszej dworskiej służby. Wczesną wiosną, kiedy role nasze dostatecznie obeschły, wyjeżdżamy radośnie w pole z najbardziej morderczym instrumentem, z włóką. Jest to prawdziwy dzień trwogi dla małych, marcowych zajączków, które żelazem podkute drewno włóki ciężko kaleczy, lub grzebie żywcem. A przecież nie trudno jest wypatrzyć młode zajączki w kotlinie, a fornal czy gospodarz, raz pouczony, prawie zawsze zatrzyma tę zajęczą gilotynę na krok przed zagładą i przeniesie młode marczaki na bezpieczną miedzę, lub poblizką łąkę, bo wreszcie cóż mu za pożytek zabrać takie chuchro do domu.

Drugi niebezpieczny okres przeżywa cały nasz drobny ludek zwierzęcy w czasie żniw. Przeraźliwy terkot żniwiarek ogłusza i ogłupia nietylko wszelką drobną zwierzynę, lecz nawet mądry lis, który w niejednej już siedział matni, przywarowawszy do ostatka, ginie czasem tą mało bohaterską śmiercią. Natomiast, jeśli wczas zatrzymamy maszyny i pozostałe dwie morgi zboża przepędzimy dwu lub trzykrotnie dziewczętami, wiążącemi zboże za żniwiarkami, przekonamy się sami, ilu stworzeniom uratowaliśmy życie. I tu również zależni jesteśmy od sumienności naszej służby dworskiej, bo leśnik w tym czasie ma to samo zadanie na gruntach włościańskich, gdzie już samemu trzeba przeważnie spełniać rolę naganki, niezawsze znajdując zrozumienie ochrony u drobnego rolnika.



Koniec polowania. Fot. S. Mrevincsies.

W wielu majątkach, szczególnie u nas w Wielkopolsce, panuje zwyczaj pozostawiania służbie dworskiej wykaszania traw na rowach i miedzach. W tych warunkach należy pilnie przestrzegać, aby traw nie koszono przed końcem czerwca, a uchronimy w ten sposób niejedno gniazdo bażancie lub kuropatwie.

Od szeregu lat stosuję pozatem z powodzeniem sposób, podany przezemnie w Nr. 33 „Ł. P." r. ub. w „Historji małego rewiru", polegający na zapobieganiu lęgom na łąkach i w koniczynach, nie będę go zatem ponownie opisywać, dodam jedynie, że za wykoszone i przywiezione gniazdo bażancie na gruntach gminnych płacę dwa złote i corocznie z tego źródła mam kilkanaście bażantów uratowanych.

Używanie nawozów sztucznych, w mniejszych czy większych dawkach, nie jest wcale tak szkodliwe, jak się to często słyszy. Nasze krajowe saletry, tak łatwo i szybko rozpuszczające się, nie mogą stanowić poważniejszego niebezpieczeństwa dla zwierzyny, jedynie azotniak, rozpuszczający się wolno, a sypany pogłównie na oziminy, w czasie suchych mrozów powoduje u sarn, zajęcy i kuropatw poważne choroby i, je-

śli go ktoś chce używać, jako najtańszy nawóz azotowy, niechby pamiętał o tem, że, sypiąc go na oziminy, zatruwa swej zwierzynie główny jej pokarm w czasie ostrej zimy.

Polować należy co rok w swoim rewirze. Polowanie co dwa lub trzy lata nie daje właścicielowi oceny przyrostu zwierzostanu z poszczególnych lat, a w rezultacie powoduje często choroby i wędrówkę, szczególnie samców, do sąsiednich, opolowanych rewirów. Jeśli termin zimowego polowania wybierać będziemy stale w czasie, w którym spodziewać się możemy ostrych przymrozków, unikniemy wtedy w dużej mierze zbytniego wystrzelania szczególnie samic zajęczych, a jeśli już św. Hubert niełaskawie ześle nam odwilż w dniu polowania, nie strzelajmy wtedy do zajęcy po trąbce wogóle, nawet poza nagankę i pamiętajmy, że sztuki, dotrzymujące do końca, to samice, z których każda da nam 8—10 sztuk młodego pokolenia w następnym roku.

Wreszcie unikać należy spraszania zbyt wielkiej ilości myśliwych na nasze polowania zimowe. Osiem dobrych strzelb wystarczy w zupełności nawet na kocioł o dwustu hektarach, lub na szrejfę o malni jednego kilometra. Niech część zwierzyny ujdzie zdrowo, przebiwszy się bohatersko przez nagankę, — spotkamy ją w następnym roku, a polowanie takie spełni swe zadanie, jako zabieg hodowlany, da pełną satysfakcję myśliwym, a i właścicielowi dostatecznie wynagrodzi poniesione nakłady i całoroczne starania.

Oto garść momentów, napozór drobnych, które w zimie jednak dadzą napewno kilkadziesiąt lub kilkaset sztuk więcej na rozkładzie, zależnie od wielkości rewiru, a niezależnie od wszelkiej innej pomocy, danej naszej zwierzynie w ciągu całego roku.

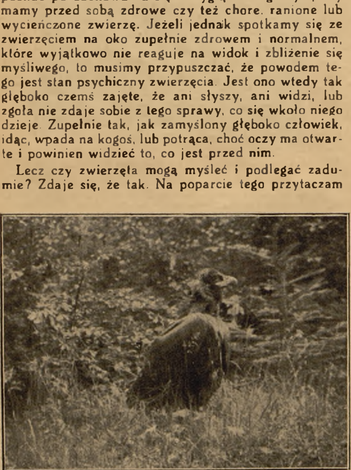
Na zakończenie pozwolę sobie zrobić uwagę, odnośnie zwyczaju, panującego w niektórych domach, w szczególności w byłem Królestwie Kongresowem. Po mniej lub więcej udanych łowach t. zw. król polowania zbiera tam na straż leśną składkę, którą wręcza do rąk gospodarza. Niezależnie już od wysokości dość samowolnie narzuconej stawki, w której zmuszony jest brać udział każdy uczestnik polowania, takie wkraczanie w ramy praw właściciela rewiru godzić musi w jego osobistą ambicję. Jestem wielkim przyjacielem naszych zielonych pomocników i właśnie dlatego wynagradzam ich tak, jak na to zasługują i nie widzę żadnego powodu, aby w tych obowiązkach zastępowali mnie goście, których proszę o przysługę wzięcia udziału w mojem polowaniu.

D.

O ZADUMANYCH LISACH.

W wielu wypadkach chytry, ostrożny i czujny lis okazuje jednakże zupełny brak tych przymiotów. Nie można tego niejednokrotnie przypisywać jakiejś jego niedyspozycji, gdyż ogólny wygląd i zachowanie się zwierzęcia są zupełnie normalne. Każdy doświadczony myśliwy wie, że zwierzę chore, zmęczone i wycieńczone łatwo zdaleka rozróżnić od zdrowego. Naturalnie, że mamy tu na myśli te wypadki, gdzie myśliwy może obserwować zwierzę niespłoszone, na wolnej przestrzeni, w lesie lub w polu. Wtedy łatwo poznać po zachowaniu się i wyglądzie ogólnym, czy mamy przed sobą zdrowe czy też chore, ranione lub wycieńczone zwierzę. Jeżeli jednak spotkamy się ze zwierzęciem na oko zupełnie zdrowem i normalnem, które wyjątkowo nie reaguje na widok i zbliżenie się myśliwego, to musimy przypuszczać, że powodem tego jest stan psychiczny zwierzęcia. Jest ono wtedy tak głęboko czemś zajęte, że ani słyszy, ani widzi, lub zgoła nie zdaje sobie z tego sprawy, co się wkoło niego dzieje. Zupełnie tak, jak zamyślony głęboko człowiek, idąc, wpada na kogoś, lub potrąca, choć oczy ma otwarte i powinien widzieć to, co jest przed nim.

Lecz czy zwierzęta mogą myśleć i podlegać zadumie? Zdaje się, że tak. Na poparcie tego przytaczam tu parę przykładów, które miałem możność obserwować podczas długoletniej praktyki myśliwskiej.



Sęp kasztanowaty Strzelbice, pow. Turka Fot. kpt. M. Szczepański.

Zaproszony na polowanie wczesną jesienią na kuropatwy, zanocowałem w gościnnym dworze gospodarza. Dwór stał w rozległym parku, w którym znajdował się dość obszerny, zarybiony staw. Wyszedłem wczesnym, słonecznym, cichym, jesiennym porankiem pospacerować po parku i skierowałem się w stronę stawu. Staw okalała żwirowana, szeroka ścieżka. Idąc tą drożyną, spostrzegłem o jakieś sto kroków przed sobą siedzącego na zadzie lisa. Zatrzymałem się, by obserwować lisa, który, choć byłem oddalony o sto kroków, lecz na otwartej przestrzeni, nie zwracał na mnie uwagi. Lis zapatrzony był na wodę, uszy miał nastawione, jakby łowił jakieś szmery w stawie. Od czasu do czasu skrobał się tylną łapą za uchem. Po paru minutach tej obserwacji postanowiłem wrócić do dworu po strzelbę i zapolować na tego marzyciela.

Na werandzie spotkałem się z gospodarzem, siedzącym przy śniadaniu i opowiedziałem mu o mojem spotkaniu, pytając równocześnie, czy nie jest to może lis oswojony? Gospodarz oznajmił mi, że nikt tu lisa oswojonego nie miał, bo jedyny służący, zamieszkały we dworze, jest znanym nieprzyjacielem zwierząt. Dwór od paru lat nie był zamieszkały, a tylko parę razy do roku właściciel jego, stary kawaler, przyjeżdżał na parodniowe polowania. Mogę więc śmiało na lisa zapolować, powątpiewa jednak, czy mi się to polowanie uda i czy zastanę go tam jeszcze.

Wziąłem dubeltówkę, włożyłem naboje i wyszedłem spiesznie do parku. Lisa zastałem na tem samem miejscu, w tej samej siedzącego pozycji, co wprzódy. Nie kryjąc się, szedłem ścieżką wprost ku niemu. Lis nie zwracał na mnie żadnej uwagi. Podszedłszy na strzał, zmierzyłem i strzeliłem. Lis po pierwszym strzale zabity został na miejscu. Był to ładny okaz, dobrze odżywiony i wyrośnięty.

Drugim razem, w parę lat potem, miałem podobne spotkanie. Szedłem pod las przed zachodem słońca, późną jesienią, po skoszonym łanie koniczyny, dość stromo wznoszącym się ku krawędzi lasu. O jakieś pięćset kroków od lasu spostrzegłem siedzącego lisa na wykopie rowu, okalającego las. Lis siedział zwrócony wprost do mnie i o podejściu go na strzał, jak

sądziłem, nie było co myśleć. Nie przerywając chodu, włożyłem jednak od wypadku naboje do strzelby i równym krokiem posuwałem się naprzód. Idąc tak, przyszedłem do lisa na jakieś sześćdziesiąt kroków. Stanąłem i palnąłem w niego, jak do tarczy. Lis został na miejscu. Był to wspaniały okaz starego samca, o pięknem, zimowem futrze. Sądziłem z początku, że może lis był ślepy, lecz, zbadawszy jego oczy, nic podejrzanego w nich nie znalazłem. Dlaczego lis nie widział mnie na czystem polu nawprost siebie, można tylko tem tłumaczyć, że był o czemś srodze zadumany i, choć może mnie widział, nie zdawał sobie sprawy, jakie mu groziło niebezpieczeństwo.

Z tych dwóch przypadków można wnioskować, że zwierzęta wpadają w zadumę, myśląc o czemś z takiem zajęciem, że tracą w tym stanie wszelką wrażliwość na to, co się koło nich dzieje. Przytoczę tu jeszcze parę przykładów, jak ostrożny i chytry lis nieraz zanadto ufa w swój rozum i lekceważy sobie człowieka, sądząc, że go zwiedzie.

Zimową porą ubiłem dwa lisy, myszkujące na stercie zboża, złożonego w polu. Lisy wchodziły na stosunkowo wysoką stertę po zaspach śniegu, nagromadzonego na przyczółku sterty od strony wiatru. Blisko stert prowadziła droga publiczna, omijająca zawianą śniegiem szosę. Jadąc tą drogą przez pola w jasne zimowe południe, spostrzegłem myszkującego na stercie lisa. Gdy sanie zbliżyły się do sterty na strzał, lis, sądząc, że go nie zauważono tak wysoko siedzącego na słomie, kolorem prawie nie różniącej się od jego futra, przywarował. Mylił się jednak tym razem i przypłacił pomyłkę życiem. W parę lat potem, w innej okolicy, miałem takie same spotkanie z lisem, a wynik był także ten sam.

Również kilka razy ubiłem lisa, który zabawiał się z myśliwym w chowanego. Polując na lisy z podjazdu w polu, na śniegu, często spotykałem się z lisami, które na widok nadjeżdżających sań ukrywały się za kupami nawozu, za sterczącemi kępkami burzanów, lub za zaspami śnieżnemi. Wracając raz z polowania szosą, ujrzałem na drodze lisa, polującego na pośmieciuszki i trznadle, nocujące w koleinach drogi. Lis plątał się tuż przed końmi, ale nie można było strzelać pomiędzy końskie brzuchy, a zwrócić końmi w bok nie dało się z powodu parometrowej warstwy śniegu, w której ostro podkute konie mogłyby się ciężko pokaleczyć. Jechałem więc naprzód, pędząc lisa przed sobą. Gdy lis zrównał się z pryzmą kamieni, schował się za nią. Zrównawszy się z pryzmą, woźnica zatrzymał konie. Byłem od lisa oddalony najwyżej o dwa metry, ale go nie widziałem, bo przytulił się do ściany pryzmy, leżąc na śniegu. Dopiero gdy dostał batem po grzbiecie od woźnicy, wyskoczył w pole, ale tu, trafiony strzałem, zginął.

Widzimy z tego, że i najchytrzejsze zwierzę często zachowuje się nie bardzo roztropnie.

LEON STARKIEWICZ

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KOMUNIKAT.

Z dniem 31 grudnia r. 1933 upłynął termin ważności legitymacyj delegatów powiatowych Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Delegatom powiatowym, mianowanym przez władze Związku na dalsze trzechlecie — sekretarjat Związku rozpoczął już wysyłanie nowych legitymacyj.

W myśl uchwały Walnego Zgromadzenia Związku, legitymacje odnowione zostaną delegatom powiatowym, którzy prenumerują „Łowca Polskiego" i nadsyłają sprawozdania ze swej działalności.

PROTOKÓŁ

posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 15 grudnia 1933 r.

Obecni pp.: Przewodniczący W. Szperling, M. hr. Potocki, red. W Garczyński, B. Gędziorowski, C. Lisowski i J. Skrzypek. Protokół prowadził J. Bokiewicz.

Porządek był następujący:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 24 listopada r. b.
2. Wykonanie uchwał i zaleceń Zarządu Związku.
3. Odnowienie legitymacyj delegatów powiatowych.
4. Rozpatrzenie wniosków o odznaczenia łowieckie.
5. Sprawy bieżące.
6. Wnioski.

Przyjęto do wiadomości usprawiedliwienie nieobecności pp.: inż. H. Knothego, mec. Al. Tallen-Wilczewskiego i J. Żukowskiego.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 24 listopada r. b. zatwierdzono bez zmian.

Zgodnie z poleceniem Zarządu Związku, Wydział Wykonawczy postanowił przystąpić do segregacji delegatów powiatowych. Wobec ukończenia terminu ważności legitymacyj delegackich, nowe legitymacje postanowiono wysłać narazie tym tylko delegatom Związku, którzy przedstawili w ubiegłym roku sprawozdania ze swej działalności oraz prenumerują „Łowca Polskiego".

W związku z tem postanowiono zasięgnąć opinji Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Wielkopolskiego Związku Myśliwych, Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich i Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego — co do ewentualnych zmian w dotychczasowym składzie delegatów, przyczem polecono sekretarjatowi przesłanie Oddziałom Związku wykazu delegatów, którzy nadesłali w roku ubiegłym sprawozdania oraz są prenumeratorami „Łowca Polskiego".

Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich rozesłało delegatom Związku w województwach białostockiem, nowogródzkiem i wileńskiem — odezwę, przypominającą o ważniejszych obowiązkach delegatów, wzywającą do intensywniejszej działalności i do zapisywania się do Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich.

Oddział ten zamierza zwołać w Wilnie zjazd delegatów z wymienionych trzech województw.

Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich zwróciło się do Wydziału Wykonawczego z wnioskiem, aby mianowanie delegatów Związku w województwie wileńskiem następowało wyłącznie po zasięgnięciu opinji Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, oraz aby warunkiem mianowania delegatów Związku w województwach północno-wschodnich było należenie ich do Tow. Ł. Z. W. Na przedstawianie opinji o kandydatach na delegatów powiatowych termin 14-dniowy, ustalony przez Wydział Wykonawczy. Tow. Ł. Z. W. uważa za zbyt krótki i wnosi o przedłużenie tego terminu do 3-ch miesięcy.

Wydział Wykonawczy postanowił termin nadsyłania przez Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich opinji o kandydatach na delegatów przedłużyć do 1-go miesiąca. Należenie delegatów do Tow. Ł. Z. W. Wydział Wykonawczy uznał za bardzo pożądane, niemniej jednak na wprowadzenie obowiązku należenia, jako warunku nominacji, zgodzić się nie mógł, wielu bowiem delegatów tych należy już do Związku, albo za pośrednictwem Stowarzyszeń Związkowych, albo w charakterze członków popierających.

Przyjęto do wiadomości treść pisma p. rtm. Henryka Buszyńskiego i postanowiono zaproponować mu nominację na delegata Związku w powiecie Lida (woj. nowogródzkie).

W związku z upoważnieniem Wydziału Wykonawczego przez Zarząd do porozumienia się z władzami wojskowemi w sprawie utworzenia stacji doświadczalnej dla broni i amunicji myśliwskiej — Wydział Wykonowczy powierzył p. C. Lisowskiemu przeprowadzenie rozmów w tej kwestji z p. mjr. Fularskim.

Na wniosek Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich

Wydział Wykonawczy nadał Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

Andrzejowi hr. Tyszkiewiczowi — za wybitną działalność na polu hodowli zwierzyny,

Karolowi Wagnerowi — za wybitną działalność na polu hodowli zwierzyny,

Karolowi Erdmanowi — za wybitną działalność na polu hodowli zwierzyny i pracę na stanowisku delegata powiatowego P. Z. S. Ł.,

Wacławowi Świętorzeckiemu — za wybitną działalność na polu hodowli zwierzyny,

Janowi hr. Tyszkiewiczowi — za wybitną działalność na polu hodowli zwierzyny.

Na wniosek Płockiego Towarzystwa Racjonalnego Polowania Wydział Wykonawczy nadał Złoty Medal Zasługi Łowieckiej Rudolfowi Spitzerze, leśniczemu lasów państwowych w Słupnie — za wybitną działalność na polu hodowli zwierzyny.

Po rozpatrzeniu wniosków delegata Związku w powiecie Chełm lubelski, p. Wł. Trąbczyńskiego, oraz członka Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego", p. Wł. Zabielly, Wydział Wykonawczy nadał Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej gajowemu lasów państwowych nadleśnictwa Pobołowice, Władysławowi Herlińskiemu — za energiczną i pełną poświęcenia walkę z kłusownictwem. Jednocześnie przyznano gajowemu Herlińskiemu zapomogę w kwocie zł. 50.—.

Na wniosek Koła Miłośników Łowiectwa — Wydział Wykonawczy nadał Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej strażnikowi Łowieckiemu Pantaleonowi Omelusikowi — za gorliwą walkę z kłusownictwem.

Komenda Główna Związku Strzeleckiego zwróciła się do Wydziału Wykonawczego z wnioskiem o delegowanie przedstawiciela do głównej komisji dyscyplinarnej Związku Strzelectwa Sportowego. Postanowiono do komisji tej delegować p. B. Gędziorowskiego, któremu przekazano równocześnie pisma Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach oraz pp.: Kęszyckiego i Górskiego, dotyczące organizacji ostatnich zawodów myśliwskich.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego za przyznane przez Wydział Wykonawczy medale na wystawę łowiecką w Toruniu.

Polskie Biuro Podróży „Orbis" zwróciło się do Związku w sprawie urządzania polowań dla osób, skierowanych przez „Orbis". Sprawę tę postanowiono przekazać p. Kiltynowiczowi.

P. Przewodniczący Szperling zakomunikował, że wpłynęła anonimowa ofiara na rzecz Związku w kwocie zł. 500.—.

Wydział Wykonawczy uchwalił obniżyć prenumeratę „Łowca Polskiego" poczynając od dn. 1-go stycznia r. 1934, do wysokości zł. 28.— rocznie, zł. 15.— półrocznie, zł. 7.50 kwartalnie i zł. 2.50 miesięcznie, cenę numerów pojedyńczych utrzymując w dotychczasowej wysokości zł. 1.—.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU GRODNO.

Obszar powiatu grodzieńskiego obejmuje około 447.000 ha.

Na terenie powiatu działają następujące Kółka Łowieckie: Grodzieńskie Tow. Myśliwskie, Ofic. Klub Łowiecki Garnizonu Grodno, Podofic. Klub Łow., Sejmikowe Kółko Łow., Bezimienne Kółko Łow., Druskienickie Kółko Łow., Siemereńskie Kółko Łow., Kryńskie Kółko Łow., Wileńskie T-wo M. Prac. Kol. i Nadniemeńskie Kółko Łowieckie w Warszawie. *)

Do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich należą z tej liczby: Grodzieńskie Towarzystwo Myśliwskie, Oficerski Klub Łowiecki Garnizonu Grodno, oraz Nadniemeńskie Kółko Łow. (warszawskie).

Wykaz osób, otrzymujących karty łowieckie, posiadam. Prócz tego prowadzę: alfabetyczny wykaz osób, figurujących w rejestrach karnych starostwa za wykroczenia przeciw prawu łowieckiemu, oraz wykaz obwodów łowieckich.

Karty łowieckie starostwo wydaje wyłącznie po zaopinjowaniu podań przez delegatów powiatowych. Opinjowanie odbywa się komisyjnie, przy udziale 2—3-ch delegatów. Wypadków odebrania kart łowieckich w roku sprawozdawczym nie było. Ogółem w roku 1932 wydano kart łowieckich 180 (w r. 1931—230).

Akcja tworzenia obwodów łowieckich w dalszym ciągu przedstawia się ujemnie, włościanie bowiem tylko w rzadkich wypadkach zgadzają się na załatwienie formalności, związanych z założeniem spółki łowieckiej.

Na terenie powiatu zarejestrowano 79 obwodów własnych o obszarze 35.983 ha i 54 obwody wspólne o obszarze 34.328 ha. Po wyłączeniu obszarów lasów państwowych oraz zarejestrowanych obwodów łowieckich, pozostaje obszar około 586.089 ha, nie objęty obwodami łowieckiemi.

Sieć obwodów łowieckich jest naogół bardzo słaba, albowiem tylko nieznaczna ich część łączy się w większe kompleksy, a przeważnie są one odosobnione i ze wszystkich stron otoczone gruntami, nie stanowiącemi obwodów łowieckich.

Poprawił się w roku sprawozdawczym zwierzostan: głuszców, cietrzewi, dzikich kaczek, kuropatw, zajęcy i wiewiórek. Ptactwa przelotnego, szczególnie bekasów, dubeltów i słonek, było znaczniej mniej, niż w latach ubiegłych, przepiórek prawie zupełnie nie było. Ilostan dzików z roku na rok maleje. Wśród innych gatunków zwierzyny poprawy zwierzostanu nie stwierdzono. Sadzenie roślin pastewnych dla zwierzyny na terenach lasów państwowych udaje się i rozszerza się z roku na rok, natomiast na terenach obwodów wspólnych rozwija się bardzo słabo. Grodzieńskie T-wo Myśliwskie stosuje sadzenie jarmużu na poletkach gruntów uprawnych, wydzierżawionych od włościan. Jarmuż udaje się, lecz kosztuje bardzo drogo.

Z dziewięciu nadleśnictw lasów państwowych, obejmujących ogółem około 90.000 ha, wydzierżawiono pod polowanie:

nadleśnictwa grodzieńskie i bersztowskie w całości, a hożańskie i jeziorskie — częściowo.

Hodowla bażantów na małą skalę w dalszym ciągu prowadzoną jest na terenie maj. Ciecierówka u p. Ursyn-Niemcewicza i w maj. Rudawa u p. Brunowla. Prócz tego, w drodze próby na terenie zajęczarni Oficerskiego Klubu Łowieckiego Garnizonu Grodno założono maleńką bażantarnię. Zajęczarnia Oficerskiego Klubu z powodu zaniesienia do niej choroby zajęczej — w roku sprawozdawczym jest nieczynna.

Rezerwat bobrowy w nadleśnictwie mostowskiem pozostaje na uroczyskach Stary Przewóz, Horodyszcze i Długi Las. Chat bobrowych jest 12, liczba bobrów nieustalona.

Chorób epidemicznych wśród zwierzyny na terenie powiatu grodzieńskiego nie spostrzeżono.

Spraw o kłusownictwo wytoczono 53, a o nieprawne posiadanie broni myśliwskiej — 44. Wymiary kar za wykroczenia przeciw prawu łowieckiemu są naogół bardzo surowe, lecz w roku sprawozdawczym uległy amnestji.

Nadzór nad handlem zwierzyną jest ścisły, gdyż funkcjonarjusze policji państwowej sprawdzają dokładnie nietylko uprawnienia poszczególnych sprzedawców, lecz i zwierzynę, celem ustalenia, w jaki sposób została zdobyta.

MICHAŁ NIEDŹWIEDZKI, pplk.,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat i miasto Grodno

Z POWIATU ZDOŁBUNÓW.

Powiat zdołbunowski pod względem zwierzostanu jest dość różnorodny. W północnej części, mającej charakter podolski, spotyka się głównie zająca i lisa, rzadko sarnę i jeszcze rzadziej dzika; w południowej zaś, przylegającej do pow. dubieńskiego i mającej charakter głównie poleski, zając jest daleko rzadszy, natomiast spotyka się częściej sarnę, dzika, a nawet głuszca i wilka. Niestety, kłusownictwo, szczególnie w tej części powiatu, jest niesłychanie rozwielmożnione i bardzo pobłażliwie karane; jako dowód może posłużyć następujący przykład: nagrodzony przez Związek medalem bronzowym zasługi łowieckiej najstarszy gajowy Leon Senejewski, który w pogoni za kłusownikiem dostał dwa strzały od niego w chwili, gdy go miał schwytać i uniknął pewnej śmierci jedynie dzięki temu, że padł na ziemię, w wysoką trawę. Za kłusownikiem tym wszczę-

*) Również Koło Miłośników Łowiectwa z Warszawy, które należy do Pol. Zw. Stow. Łow. i dzierżawi nadleśnictwa jeziorskie i głuszyniewskie. *(Przyp. red.)*.

tem energiczne poszukiwania i został on odnaleziony we wsi Moszczanica; przyznał się do winy i został aresztowany, jednak sąd okręgowy w Równem ukarał go nadzwyczaj lekko, a — co najgorsze — zawiesił mu karę na trzy lata. Obecnie ten sam kłusownik jest zupełnie nieuchwytny, gdyż poluje stale, ale tylko w księżycowe noce, z tej samej dubeltówki, której nie odebrano mu, i dziesiątkuje zwierzynę. Oczywiście prześladowanie kłusownictwa w takich warunkach jest niesłychanie utrudnione i naraża służbę leśną na bezkarne kalectwo lub śmierć, co ostatecznie najenergiczniejszych nawet ludzi zniechęcić może, tembardziej, że miejscowe władze ustawą łowiecką słabo się interesują. Dopiero energiczna interwencja coś zdziałać może, ale i wtedy zeznania kłusownika i przysięgłego strażnika łowieckiego stawiane są na równej szali. Trzeba mieć nadzieję, że po objęciu stanowiska przez nowego starostę, p. Niecięgiewicza, stosunki się zmienią. Odbyliśmy już w tej sprawie wspólnie z p. pułkownikiem Zawistowskim i inżynierem Jabłońskim konferencję z p. starostą, który nam zmianę stosunków przyobiecał, jak również zasięganie u nas informacyj przy wydawaniu pozwoleń na broń, która dotąd wydawana była bez żadnych zastrzeżeń i oczywiście trafiała często do rąk nieodpowiednich. Oczywiście byłoby pożądanem, aby pozwolenia na broń były wydawane jedynie członkom kółek myśliwskich; aby zwolniono przysięgłych strażników łowieckich, poza obowiązkiem wyjednania prawa na broń, od wykupu prawa polowania, którego nie wykonują, lecz zmuszeni są korzystać z broni jedynie dla tępienia szkodników i obrony własnej.

Stan zajęcy w ostatnich latach poprawił się. Kuropatwy prawie zupełnie wyginęły.

Kółek myśliwskich na terenie powiatu było trzy: w Zdołbunowie, Ostrogu i Mizoczu. Terenów zarejestrowano ogółem o obszarze 69.819 ha. Pozwoleń na broń wydano 174. Kółka myśliwskie tępią szkodniki, wyznaczając strzałowe za nie. Hodowlą zwierzyny zajmują się nieliczni obywatele, sprowadzając z zachodu bażanty i kuropatwy. Ja osobiście, po klęsce różycy, która zdziesiątkowała u nas dziki, sprowadziłem dwie pary dzików z lasu Wolskiego pod Krakowem, lecz absolutnie do hodowli się one nie nadają, gdyż w różnych częściach dwóch gmin dawały się zapędzać do chlewów i z tego powodu miałem oczywiście kłopot i wydatki. Obecnie ślad po nich zaginął — zostały prawdopodobnie na stałe zapędzone do jakiegoś chlewa.

JÓZEF DUNIN-KARWICKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Zdołbunów.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 1 „Ł. P." z dn. 1 stycznia b. r. wkradła się do sprawozdań delegatów powiatowych omyłka drukarska. Sprawozdanie z pow. Poznań zatytułowano „z powiatu Wołożyn" i naodwrót, co niniejszym prostujemy.



Pińszczyzna. Po skończonem polowaniu.
Fot. St. Zdan-Michajłowicz.

W SPRAWIE AKCJI ZAPOMOGOWEJ.

(—zet.—). Dowiadujemy się, że grono myśliwych, zrzeszonych w klubie myśliwskim św. Huberta w Łodzi (ul. Zielona 12) podczas polowania w dniu 3 grudnia ub. r. zainicjowało wśród uczestników składkę na pomoc dla najbiedniejszych na nadchodzące święta Bożego Narodzenia.

Chwalebna myśl ta dała w wyniku doraźnej zbiórki pomiędzy myśliwymi sumę Zł. 40.—, którą przesłano na powyższy cel do działu ofiar „Kurjera Łódzkiego".

Odruch serca w kierunku dopomożenia niedoli i nędzy, myśl o najbardziej przez los prześladowanych i wyzutych w chwili przeżywania miłego i zasłużonego wypoczynku po pracy, powinny znaleźć szerokie echo i pobudzić do naśladownictwa liczne rzesze tych wszystkich, których stać na uprawianie rozkoszy sportu myśliwskiego.

W tem miejscu należy myśliwym naszym przypomnieć o niedoli najbardziej związanych z umiłowanem przez nich łowiectwem — o wdowach i sierotach po poległych w walce z kłusownictwem leśnikach i strażnikach łowieckich, o kalekach i pogorzelcach wśród tych funkcjonarjuszy, których dosięgła zbrodnicza zemsta bandytów z pomiędzy złodziejów zwierzyny.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w przewidywaniu takiej pomocy, stworzył już dawno fundusz zapomogowy dla wdów i sierot po poległych strażnikach łowieckich, lecz, niestety, rzadko na fundusz ten wpływają jakieś ofiary, co akcję powyższą niezmiernie utrudnia.

Przy sposobności prosimy wszystkie Stowarzyszenia łowieckie, pp. Delegatów oraz ogół myśliwych, którzy w akcji tej wezmą kiedykolwiek udział, wypłacając podobne zapomogi bezpośrednio poszkodowanym, o łaskawe nadsyłanie wiadomości o tem do naszej redakcji.

KUPNO RASOWEGO WYŻŁA.

Istniejące u nas towarzystwa (kluby) kynologiczne nie rozporządzają dotychczas oficjalnemi księgami rodowodowemi i stąd wynika, że psy, wyhodowane przez poszczególne hodowle prywatne, nie mają możności uzyskiwania właściwych dokumentów rodowodowych.

Wskutek tego nabywcy psów muszą się zadowalniać prywatnemi zaświadczeniami (rodowodami) hodowców, co w zasadzie, oczywiście, bynajmniej nie przeszkadza tranzakcjom psami rasowemi wiadomego pochodzenia, ani rozwojowi ich dalszej hodowli.

Nie mniej jednak stanowi to poważny brak formalny, z różnych względów dla sprawy szkodliwy, który, niestety, bywa wykorzystywany przez jednostki nieuczciwe, lub czystość rasy lekceważące.

Stosunkowo dość często spotykamy się z utyskiwaniami na ten stan rzeczy, gdyż zasadniczo osłabia on zaufanie do naszych gniazd hodowlanych u szerszego ogółu myśliwych, niewtajemniczonych bliżej w organizację klubów kynologicznych, ich działalność i pracę hodowlaną członków.

Prócz utyskiwań, spotykamy się nierzadko też z uzasadnionemi wyrzekaniami i skargami myśliwych, którzy padają ofiarą własnej nieświadomości i lekceważenia zasadniczych podstaw do nabywania psów rasowych. W różnych pismach bywają często zamieszczane ogłoszenia o sprzedaży „rasowych" szczeniąt, a nabywcy, którzy zaniedbują w swoim własnym interesie leżącego sprawdzenia solidności takich ogłoszeń, względnie samych „hadowli", narażają się niejednokrotnie na gorzkie i kosztowne zawody.

Celem niniejszej notatki jest wyraźne stwierdzenie faktycznego stanu sprawy rodowodów psów rasowych, oraz nieuregulowanych wskutek tego stosunków handlowych i zwrócenie uwagi zainteresowanych na możliwe stąd dla nich przykre konsekwencje przy nabywaniu psów na ślepo, wyłącznie na podstawie ogłoszeń prasowych.

Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, aż do najprzykrzejszych zawodów włącznie, radzimy myśliwym, którzy pragną zaopatrywać się w psy bezwzględnie rasowe, dobrego i czystego pochodzenia, zużytkowanie w tym celu wiadomości i wskazówek, pochodzących od ludzi świadomych stanu i rozwoju hodowli wyżłów w Polsce, przedewszystkiem więc od zrzeszonych w klubach hodowlanych członków, albo od samych klubów, drogą oficjalnej wymiany korespondencji, lub osobiście uzyskanych informacyj.

Niezależnie od powyższego należy przy sposobności zwrócić uwagę Zarządów poszczególnych klubów kynologicznych, że sprawa zaprowadzenia oficjalnych ksiąg rodowodowych nie powinna być dłużej odkładaną i że dopełnienie tego braku stanowi bezsprzecznie o stworzeniu właściwej orjentacji wśród szeregów przyszłych nabywców psów rasowych, co winno również leżeć w interesie własnym ich hodowców.

WUZET.

KŁUSOWNICTWO.

(—jw.—). Będąc wieczorem, dnia 15 ub. mies. w lesie maj. Konty (pow. Biała Podl.), p. J. Bończa-Markowski usłyszał strzał, a chcąc stwierdzić, kto o tej porze strzela, udał się w kierunku, skąd doszedł go huk. Po kilkudziesięciu krokach zobaczył w krzakach dwóch uzbrojonych w dubeltówki kłusowników.

Wyjąwszy rewolwer, p. Markowski wezwał kłusowników do natychmiastowego złożenia broni i podniesienia rąk, wezwani jednak nie usłuchali, a jeden z nich, złożywszy się błyskawicznie, wystrzelił do p. Markowskiego, który w tym samym momencie uskoczył za drzewo, ostrzeliwując kłusowników z rewolweru. Widząc swą bezsilność, kłusownicy rzucili się do ucieczki. Pogoń, niestety, rezultatu nie dała, gdyż ścigani, korzystając z zapadającego mroku, ukryli się w lesie.

Zawiadomiona o zajściu tem policja wszczęła niezwłoczne dochodzenie. Śledztwo prowadzi posterunek policji państwowej w Hodniu.

(—jb.—) W maju roku ubiegłego gajowy Jan Baster, obchodząc las w Nawojowej Górze, spotkał dwóch kłusowników, którzy, na jego widok, rzucili się do ucieczki. Gdy wezwanie, aby się zatrzymali, nie poskutkowało, gajowy Baster, po ostrzeżeniu, strzelił za uciekającymi, pragnąc zranić ich w nogi. W chwili strzału, Baster potknął się o pień i wskutek tego mimowoli poderwał broń, trafiając jednego z uciekających w plecy. Raniony kłusownik, Wiktor Nawała, zmarł po kilku dniach, a gajowemu Basterowi wytoczono sprawę o zabójstwo.

Epilogiem tej sprawy był proces przed sądem krakowskim, w grudniu roku ubiegłego.

Sąd całkowicie gajowego Bastera uwolnił od kary i winy.

WŁAŚCICIELE ŁOWISK! UBEZPIECZAJCIE SWOJĄ STRAŻ ŁOWIECKĄ NA WYPADEK ŚMIERCI LUB KALECTWA W WALCE Z KŁUSOWNICTWEM — JEST TO WASZYM KARDYNALNYM OBOWIĄZKIEM.

(—jb.—) W nadleśnictwie państwowem Łęczno miejscowy leśniczy postrzelił znanego w okolicy kłusownika, Ignacego Pabicha, w chwili, gdy przyłapany na gorącym uczynku kłusownik, nie słuchając wezwania leśniczego, uciekał.

Bezczelny kłusownik oskarżył leśniczego i praktykanta leśnego o użycie broni bez słusznej przyczyny.

Przekonani jesteśmy, że wszczęte śledztwo zwróci się we właściwym kierunku, a więc przeciwko osobie Pabicha, uprawiającego dotąd bezkarnie niecny proceder kłusowniczy.

(—jb.—). 3 grudnia roku ubiegłego w lesie i na polach w okolicy Suchej, polowało kilku kłusowników. W pewnym momencie, na odgłos strzału, kłusownicy zbiegli się i oczom ich przedstawił się widok tragiczny: w krzakach leżał współtowarzysz ich, Wojciech Głuszek, a obok — roztrzaskana strzelba. Głuszek, nie odzyskawszy przytomności, zmarł wskutek poszarpania wnętrzności.

Dochodzenie ustaliło prawdopodobny przebieg wypadku: torując sobie drogę, Głuszek najpewniej strzelbą rozgarniał krzaki, a nieostrożnie zawadziwszy o gałąź — spowodował wystrzał.

Wypadek ten musiał wywrzeć na towarzyszach Głuszka silne wrażenie, rozbiegli się bowiem w jednej chwili, a żaden z nich nie pośpieszył nawet rannemu z pomocą, obawiając się i podejrzenia o dokonanie zbrodni i kary za uprawianie kłusownictwa.

Jeśli jednak bezpośrednio wypadku tego nie spowodowali, to powinni być przynajmniej surowo ukarani za kłusownictwo. Wierzymy więc, że policja nasza nie dopuści do ich bezkarności.

(—jb.—) Stróż polowy, Lewandowski, natknął się na polu majątku Zalesie (pow. Gostyń), na czterech kłusowników, którzy powracali z wyprawy. Zaszedłszy im drogę, Lewandowski wezwał, aby się zatrzymali. Odpowiedź padła w postaci strzałów, które chybiły. Gdy Lewandowski zaczął również strzelać — kłusownicy rozbiegli się w różne strony. Lewandowski nie dał za wygraną i puścił się za jednym z uciekających w pogoń. W pewnej jednak chwili upadł na ziemię i skonał wskutek udaru serca.

Policja prowadzi energiczne śledztwo i niewątpliwie odnajdzie zbrodniarzy, którzy nie wahali się użyć broni i jakkolwiek strzały ich chybiły, stali się sprawcami śmierci dzielnego polowego ś. p. Lewandowskiego.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Dnia 28 listopada 1933 r. odbyło się doroczne polowanie w Drobninie, majątku pp. Stefanostwa Ponikiewskich. Opolowano w 10 strzelb około 6.500 mórg magd. Na rozkładzie było 987 sztuk; najlepszy rozkład mieli pp. pułk. K. Chłapowski z Mościejewa i p. Jan Donimirski z Tarchalina (po 120 sztuk). Uczestnicy polowania, z których sześciu w dniu tym miało na rozkładzie po przeszło 100 sztuk, z prawdziwą radością powitali znów knieję drobnińską po dwuletniej przerwie spowodowanej chorobą zajęcy.

— Dnia 23 listopada 1933 r. polowano w 10 strzelb w Sarnowie (powiat rawicki) — własności p. rtm. Józefa Kiełpsza. Na terenie około 4.000 mórg ubito ogółem 257 sztuk. Najlepszy rozkład (48 sztuk) miał p. Jan Donimirski z Tarchalina. Polowanie, które zaszczycił swą obecnością p. Prezes P. Z. S. Ł., gen. dyw. K. Sosnkowski wraz z małżonką, zorganizował i sprężyście prowadził znany myśliwy, p. pułkownik Bystram.

— Dnia 9 grudnia 1933 r. na polowaniu w Piaskach u pp. Tadeuszostwa Karłowskich (pow. rawicki) ubito w 8 strzelb na terenie około 3.000 mórg ogółem 503 sztuki. Najlepszy rozkład 96 sztuk miał p. Stanisław Kamocki z Tworzanic. W rewirze tym, troskliwie pielęgnowanym przez właściciela, szczególnie podkreślić należy doskonały przyrost bażantów, których było na rozkładzie 247 (kogutów).

— Dnia 14 grudnia 1933 r. odbyło się polowanie w 7 strzelb w Tarchalinie, własności pp. Janostwa Donimirskich. Na terenie około 3.000 mórg magd. padło ogółem 550 sztuk, w czem zajęcy 361, bażantów-kogutów 176, królików 12 i jedna kuna leśna. Najlepszy rozkład (92 sztuki) miał p. M. hr. Czarnecki z Ruska. Dzień był słoneczny, temperatura około — 16° C.

— Dnia 16 grudnia odbyło się polowanie w Bogusławicach, wł. p. Jerzego Krzymuskiego. Rezultat był rekordowy, gdyż na przestrzeni około 30 włók w ciągu 3½ godziny zabito 1.014 sztuk, w czem 900 zajęcy, 89 bażantów i (za pozwoleniem województwa) 25 kuropatw. O gęstości zwierzyny świadczy fakt, że, w ławie leśnej, w niewielkim 150 morgowym lasku zabito 560 sztuk, pomimo tego, że od połowy sztrejfy część myśliwych przestała strzelać z powodu braku amunicji. Polowano w 10 strzelb; najwięcej na rozkładzie mieli: p. Aleksander Płoski (147 sztuk) i p. L. Pulaski (138 sztuk).

— Dnia 24 i 25 października r. ub. odbyło się polowanie u p. Stanisława Cieńskiego w Piekaniach. Ubito 62 zające, 10 lisów, 18 słonek. Udział w polowaniu brali pp.: Stanisława Cieńska, J. hr. Wodzicki, Włodzimierz Cieński, A. bar. Heidel, Andrzej hr. Pruszyński, Ludomir Cieński, ord. hr. Baworowski.

— Dnia 2 grudnia r. ub. polowano w Dubanowicach (powiat Rudki) u Seweryna bar. Brudnickiego w 8 strzelb. Wzięto 1 kocioł i 8 leśnych miotów. Rezultat: 2 lisy i 68 zajęcy. Do południa była silna zadymka, potem cicho i bardzo mroźnie. Polo-

wanie sprawnie prowadził właściciel. Przy odpowiedniej aurze rezultat mógłby być podwójny.

— Na polowaniach w powiecie Rawa Ruska: padło w maj. Tchlów, dn. 13 i 14 grudnia r. ub. — 96 zajęcy; w maj. Wierzbica i Machnów Nowosiolski (3 dni) — 6 lisów i 300 zajęcy; w maj. Karów, 20 grudnia r. ub. — 1 dzik, 2 lisy i 237 zajęcy; w maj. Staje, 22 grudnia r. ub. — 79 zajęcy i 1 bażant; w maj. Ostobuż, 23 grudnia r. ub. — 71 zajęcy.

— W majętności Ksawerowej ks. Druckiej-Lubeckiej, Dłoń (pow. rawicki), odbyło się 9 listopada r. ub. doroczne polowanie leśne przy udziale pięciu strzelb. Brali udział: Olgierd ks. Czartoryski, Jan ks. Drucki-Lubecki, ord. hr. Skórzewski, hr. Szołdrski i hr. Plater. Podniesiono 820 bażantów, 36 zajęcy, 15 kuropatw, 790 królików i 6 różnych, razem 1.667 sztuk. Najwięcej zabił hr. Skórzewski z Czerniejewa, kładąc 450 sztuk.

— Dnia 9 grudnia r. ub. w tej samej majętności przy udziale 6 strzelb zabito 711 zajęcy; najwięcej miał na pokocie ks. Lubomirski (140 zajęcy).

— W dniach 28 i 29 listopada r. ub., odbyło się polowanie na zające i bażanty w majątku Września, własność Edwardostwa hr. Mycielskich. W polowaniu wzięli udział: Pan Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Ignacy Mościcki, płk. Głogowski, kpt. Gurzewski, ord. Czarkowski-Golejewski, wojewoda Roger hr. Raczyński, ord. Zygmunt hr. Skórzewski, Adam hr. Starzeński, gospodarz Edward hr. Mielżyński i syn jego hr. Stanisław, który objął naczelne kierownictwo polowania, prowadząc je szybko, sprawnie i bez zarzutu. Ogółem ubito sztuk 798. W pierwszym dniu padał gęsty mokry śnieg, utrudniając wypędzenia bażantów z zarośli i kultur, drugiego zaś dnia była piękna, mroźna pogoda, jednak przy silnym wietrze.

Najwięcej na rozkładzie miał P. Prezydent (132 sztuki.).

W dniu 2 grudnia r. ub. opolowano przy udziale 10 strzelb pole w Warszówce, oraz pole i las w Dębem, ogółem 4 pędzenia, 2 sztrejfy i 1 kociołek chłopski. Padło: bażantów — 89, zajęcy — 474, kuropatw — 28, królików — 300, ogółem sztuk — 891.

W dniu 28 grudnia r. ub. poprawiono w 4 strzelby parę pędzeń bażancich. Padło: bażantów — 148, królików — 56, zajęcy — 9 (strzelane tylko w 1 pędzeniu).

Ogółem w sezonie jesiennym zabito w Warszówce: bażantów—1515, zajęcy — 963, kuropatw — 99, królików — 382; razem — 2959 sztuk.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, J. Gryminski, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

ŚCISŁY KOMITET REDAKCYJNY: Jerzy Dylewski, Walenty Garczyński i Władysław Zabiełło.

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Amatora, właściciela dóbr, chętnego założyć intensywną dochodową gospodarkę bartnictwa — poszukuje zawodowy pszczelarz, rolnik, leśnik i hodowca zwierzyny, oferty Adm. „Łowca Polskiego”.

Bażanty żywe, pierwszorzędny materjał hodowlany, po niskich cenach poleca Nadleśnictwo Miłosław, powiat Wrzesnia. Przy większych zamówieniach znaczny rabat.

Dla odświeżenia krwi — żywe zające, kuropatwy, bażanty, dzikie indyki, bażanty królewskie, oraz puhacze do polowań z łuoki etc., dostarcza w najlepszych gatunkach z Węgier, Czechosłowacji, Austrji etc. znana, renomowana firma Eduard Mayer — Wildexport Wiener Neustad: (Austrja).

Leśniczy sumienny, energiczny, polak długoletnio praktyka, biegły w swym zawodzie, gruntownie obznajmiony w zakładaniu kultur i szkółek leśnych, energiczny tępiciel kłusowników i drapieżników, na ostatniej posadzie 6 lat poszukuje posady. Łaskawe zgłoszenia uprasza — Adm. „Łowiec Polski“ Górnoślązak.

Leśnik (borowy), Poznańczyk, lat [illegible]4, żonaty, 16 lat praktyki, obznajmiony dokładnie we wszelkich gałęziach leśnictwa, bardzo energiczny, dobry tępiciel drapieżników i kłusowników, zamiłowany hodowca zwierzyny i bażantów poszukuje posady od zaraz lub 1 kwietnia 1934 r. z kaucją. A. Wiland — Samostrzel, pow. Wyrzysk, Poznańskie.

Ważne dla hodowców drobnej zwierzyny! „Kamsta“, przynęta na koty, tchórze, kuny, lisice — 1/4 kg. porcja służy do schwytania w łapki 20-30 sztuk. Opis użycia dołączony do słoika. Cena zł. 8. — Do nabycia w Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich: Nowy Świat 35.

Wydzierżawię od zaraz lesisty teren łowiecki w powiecie Siedleckim 300—400 hektarów. Oferty pisemne pod adresem: Kevelli, c/o „Cosulich“ Warszawa, S-to Krzyska 25.

Żywe zające leśne sprzedaje Zarząd Lasu Wolskiego p. Wola Justowska koło Krakowa.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa